

Bibliot. uczn.  
Państw. Gimnazjum  
Im. J. Piłsudskiego  
w Jarosławiu.

ZDZISŁAW GRODECKI

~~1313~~

~~1844~~

# BOLKO ŚMIAŁY

## W PRZEMYSŁU.

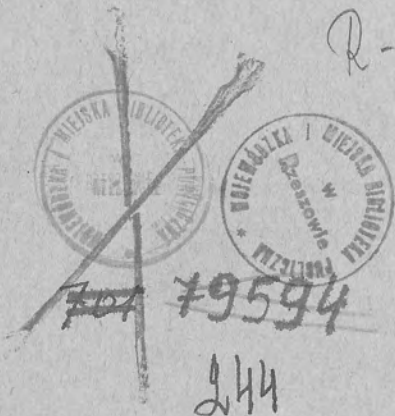


Powieść.

1929

NAKŁADEM „ZIEMI PRZEMYSKIEJ“ W PRZEMYSŁU

R-221



- Z NAKŁADOWEJ DRUKARNI ANTONIEGO  
BLUJA W PRZEMYSŁU.

20,-

## Wstęp.

«Ide Wołodymir na Lachy i zajął hrady ich Peremyszl, Czerwień i inne i że sut od seho dnia pid Rusiju». (Rok 981. Z zapisków ruskiego kronikarza Nestora).

Z licznych grodów należących do Polski a leżących na wschodnich rubieżach państwa najpotężniejszym był Przemyśl. Grody te — jak wspomina ruski kronikarz Nestor — zajął za panowania Mieszka I w r. 981 książę ruski Włodzimierz nie bez krwawych walk z Lechitami. Wielki nasz król, Bolesław Chrobry, syn i następca Mieszka I, uporawszy się z Niemcami, odbił je w r. 1018 z powrotem i przyłączył do swego państwa.

Nie trwało to jednak długo, bo po jego śmierci znów zdobyli je książęta ruscy. Prawnuk Bolesława Chrobrego, Bolesław Śmiały, odzyskał je wraz z Przemyślem w r. 1071, po krwawych walkach, wracając z Kijowa, gdzie osadził na tronie księcia Izasława. I znowu na krótko. Z rąk do rąk przechodził Przemyśl z Grodami Czerwieńskimi, aż wreszcie od r. 1340 stałe do Polski należał do I rozbioru 1772 r. kiedyto dostał się pod panowanie Austrii, gdzie pozostał do jej upadku tj. do r. 1918.

## ROZDZIAŁ I.

Po dwuletnim pobycie w Kijowie, osadziwszy na stolcu książęcym Izasława — ruszył Bolesław Śmiały u schyłku lata 1070 r. z powrotem do Polski na czele pięćdziesięciotysięcznej armji. Szli z nim rycerze polscy z licznymi pocztami zbrojnych z różnych grodów i gródków, okuci w żelazne pancerze z mieczami i toporami, szli Czesi i Morawianie dobrze okryci i w rzemiośle rycerskiem zaprawieni, nie brakło także plemion słowiańskich z rozmaitych zakątków młodego państwa, wśród których najwięcej od zachodniej granicy w walkach z Niemcami wyćwiczonych a dotąd w pogaństwie żyjących.

Byli tam niezrównani łucznicy pogańscy Obo-trycy i oszczepami walczący z tarczami skórzane-  
mi jako szczytownicy Połabianie, nawet z lesi-  
stych Karpat uzbrojeni w żelazne ciupagi na pół  
dzicy górale.

Na rozesłane wici zbiegły się te słowiańskie  
plemiona, z myśliwstwa i z wojny żyjące, aby pod  
dowództwem wsławionego i walecznego króla  
nabrać łupów w bogatym o złotych bramach  
i kopułach Kijowie.

Blisko dwa lata spędzili, używając wczasów  
i różnych rozkoszy w ruskiej stolicy, dopóki nie  
wezwały ich trąby i rogi, nakazujące powrót  
w domowe pielesze.

Przez żyzne stepy i niezgłębione puszcze na  
Bug, Styr, Grody Czerwieńskie i Przemyśl prowa-  
dził król swych wojowników i rycerzy o róż-  
nych znakach i zawołaniach, jednocząc wszyst-  
kich pod swym królewskim znakiem Orła Bia-



tego. Dwadzieścia tysięcy koni tratowało stępy a trzydzieści tysięcy pieszych deptało bujne trawy, po których ciągnął tabor z kilku tysięcy wozów, naładowanych łupami, zbożem i spyżą,

Szli przez puszcze, dotąd ludzką stopą nie tknięte, w których trzeba było dopiero wyrębywać drogę, aby taborom umożliwić pochód.

W takiej dziewiczej puszczy zniknęły te tysiące wojowników jak małe mrówki w zagajniku, ale też puszcza osłaniała je i jak matka żywiła. Zdziwione i zaniepokojone stada brodatych żubrów i turów z rykiem poczęły bronić swych dzikich ostępów i uderzać często na zuchwałych drwali, walących kilkusetletnie dęby i buki, brunatne niedźwiedzie ze złowrogim pomrukiem napadać a gromady wilków po nocach wyć i okrażać tabory. Dniami i nocami trwał stukot siekier i toporów, ciągle płonęły ogniska, oświetlając krwawym blaskiem te mroczne puszcze i dzień w dzień padało tysiące żubrów, turów, łosi, niedźwiedzi i jeleni na pokarm dla wojowników.

Trzebiono bory, w mokradła i leśne głębie walono setki pni ściętych i krok za krokiem, w ciągłych walkach z dzikim zwierzem i puszczą, posuwano się naprzód. Gdy jedna puszcza się skończyła zaraz zaczynała się druga równie niezgłębiona, mroczna i niezmierna. Próżno w nich szukać ludzkich osiedli, tu i ówdzie tylko napotymano na półdzikich myśliwców, przebiegających te ciemne głębie w pościgu za cenniejszą zwierzyną i to nad rzekami. We wnętrza ich nawet najodważniejszy nie zachodził w obawie zblądzenia i pożarcia przez dzikiego zwierza,

Jedynym widowym znakiem posuwania się wojska królewskiego były chmury drapieżnego ptactwa unoszące się nad niem. Mimo to z głębi tych borów szła wieść nad Bug i Styr, do Grodów czerwieńskich i do Przemyśla, gdzie usadowili się Rusowie: „Król Bolko idzie“!

Wieść tę którą niosła puszcza z poświstem zimowych wichrów, poszumem drzew i pluskiem fal rzecznych, zanim król wyszedł z niej, wielce zatrwożyła Rusów.

Wreszcie król Bolko, jak prawdziwy bóg wojny, wynurzył się w całym swym królewskim majestacie i potędze z tych borów i począł upominać się o swe dziedzictwo, grożąc opornym zagładą.

Przerażeni Rusowie w mniejszych grodach i gródkach poddawali się zwycięzcy kijowskiemu i protektorowi Izasława, wychodząc naprzeciwko z chlebem i solą, w większych natomiast warowniach, jak w Czerwieniu i Przemyślu zamknęli się, gdzie zamierzali stawić opór.

Obsadziwszy załogą odebrane grody, ruszył król na Czerwień i Przemyśl.

## ROZDZIAŁ II.

Na skalistym pagórku, wśród głuchej puszczy nad Sanem, wznosił się mały, ale wielce obronny gródek rycerza polskiego Mściboja, zbudowany z potężnych, od starości zczerniałych bierwion dębowych z czterema małemi basztami i mostem zwodzonym. Odkąd ludzka pamięć sięga, gródek ten istniał jeszcze za czasów pogańskich i należał do przodków Mściboja.

Wokół leżało trochę pola ornego wydartego puszczy już dawniej, obecnie dopiero za Mściboja poczęto ją naprawdę trzebić i wdzierać się do jej wnętrza. Kilkudziesięciu jeńców wojennych, wziętych w ostatniej wyprawie na Rusach, karczowało w ciężkim znoju, wycięty szmat lasu i zamieniło go na urodzajne pole. Pole to jednak nie wiele jeszcze dawało chleba mieszkańcom gródka; żywiła ich głównie puszcza z nieprzebraną zwierzyną a od czasu do czasu wojna.

Po zajęciu Grodów Czerwieńskich i wschodnich rubieży Polski przez Włodzimierza w r. 981, Rusowie potężniejsze grody opanowali, pozostawiając w rękach polskich jedynie małe, nieznaczące i dla nich nie groźne. Z tej przyczyny ocalał między innymi i gródek Mściboja.

Przed blisko dwoma laty, gdy przyszedł wici od króla Bolka wzywające na wyprawę kijowską, ruszył Mścibój z małym pocztem zbrojnych, pozostawiając gród i swą młodą urodziwą małżonkę Zbigniewę, z dwoma malenkimi bliźniakami Mieszkiem i Bolkiem, na opiece kilkunastu tylko służby pod wodzą swego sędziwego piastuna Lubomira.

Ciężka to była rozłąka dla młodego rycerza, porzucać przed trzema laty poślubioną cudnej piękności małżonkę i dwuletnich synaczków, ale rozkaz króla i obowiązek rycerski pierwszy. Z płaczem wielkim zawisła Zbigniewa „u szyi Mściboja i oderwać się odeń nie mogła, mówiąc przez łzy: Wracaj rychło, bo bez ciebie ni mi żyć, ni umierać. Bez ciebie żałoba i noc chmurna, z tobą radość i wesele. Boję się, aby nas co złego nie spotkało.

Jak mógł pocieszał rycerz małżonkę, a poże-

gnawszy ją czule z dziatkami, wsiadł na koń i szybko odjechał ze smutkiem w sercu. Blisko dwa lata czekała napróżno powrotu lub jakichś wieści od męża, aż nareszcie przybył z Kijowa sługa i doniósł, że oto król z całym rycerstwem wraca, aby odebrać Grody Czerwieńskie i Przemysł, Mścibój zdrów i wierny posyła pozdrowienie dla niej i dla dzieciak i spieszy w orszaku królewskim.

Tem radośniejsze były te wieści, że wokół mówiono, iż Mścibój poległ. Uparcie powtarzali je wszyscy a najwięcej jeden z ruskich bojarów nazwiskiem Wasylko z drużyny księcia ruskiego w Przemysłu.

Tento Wasylko pod różnemi pozorami, rzekomo z rozkazu księcia, nawiedzał gródek Mściboją z wielką skwapliwością i zabiegał o względy jego małżonki, rozpuszczając pogłoski o śmierci rycerza.

— Choćby mój małżonek poległ, co niedaj Bóg — raczej wdową pozostanę a nie poślubię nikogo i chcę żyć tylko dla moich dzieciak — mówiła.

Wszelkie jego zabiegi, starania i podstępny rozbiły się o opór Zbigniewy, która pozostała jak skała w swej wierności niewzruszona. Napróżno Wasylko opowiadał o swoich czynach wojennych, napróżno składał w darze klejnoty i grał smętne piosenki na lutni i miłośnię zawracał oczami, napróżno padał na kolana, żebrząc o trochę serca. Zbigniewa słuchała z przykrością tych wynurzeń, klejnoty odrzucała precz, aż wreszcie gdy przebrała się miarka wyprosiła go z do-

mu. Wasyłko urażony, poprzysiągł zemstę dumnej łaszce i więcej się nie pokazał.

W tym czasie, wśród ostrej, zimy poczęły krążyć wieści o pochodzie wojsk królewskich: Już król Bolko z puszczy się wynurzył, już ruszył na Czerwień i Przemyśl — mówiono — i Rusowie drżą ze strachu i grody mu poddają!

Te wieści poruszyły cały gródek.

W dużej izbie z panią zasiadła służba na dębowych ławach. Na kominie jasnym płomieniem paliły się całe płachy sośniny, w szpary belek wetknięto płonące smołne szczypy dla światła. Małe okienka, obciążone błonami a zamknięte potężnymi okiennicami, mróz pokrył grubą powłoką lodową. Na dworze huczał mroźny wichur i brał mróz trzaskający; nadchodziła straszna noc w głuchej puszczy.

W świetlicy było ciepło i zacisznie,

Obok komina, z synaczkami na kolanach, siedziała pani, słuchając pilnie wieści przyniesionych przez służbę o pochodzie wojsk królewskich.

— Mówią Rusowie — odezwał się sędziwy Lubomir — że król Bolko niedługo tu przybędzie i zacznie przywracać polskie panowanie!

— Dałby Bóg, żeby się to stało, jak najrychlej, bo z tymi Rusami trudne pożycie — mówili inni.

— Wśród tak ostrej zimy ciężko naszym wojownikom w polu — podczas gdy Rusowie siedzą sobie w ciepłych izbach.

— Gdzie są obecnie wojska królewskie? — zapytała pani.

— Mówią, że pod Czerwieniem, ale to niepewne.

Zadumała się młoda niewiasta i przeniosła się myślą hen w te puszcze ku swemu ukochanemu mężowi, który na takim mrozie w trudzie i w walce przeżywa.

Coraz większy wicher się zrywał i trząśł okiennicami.

Wśród tej wichury dały się słyszeć z zewnątrz jakieś wołania i przytłumione głosy.

Do izby wpadł strażnik i obwieścił, iż jacyś jeźdźcy zbłądziwszy w puszczy proszą o wpuszczenie do środka, bo bardzo przemarli a ognia skrzesać nie mogą.

Poruszyli się wszyscy.

Może to polscy rycerze, może Mścibój wraca, — wykrzyknęła odruchowo Zbigniewa i kazała zbadać.

Po długiej chwili oznajmił Lubomir, iż dieściu jeźdźców przed bramą czeka, drżących od zimna a opowiadają, iż należą do wojsk królewskich, wysłanych pod Przemyśl jako podjazd, który w puszczy zabłąkał się. Część ich przeszła San po lodzie a reszta czeka z drugiej strony. Mówią, że wysłał ich sam Mścibój na zwiady i chcą się tylko zagrzać...

Z zapartym oddechem słuchała tej relacji pani niepewna, co postanowić.

— Czy to nie jacy zbóje i łotrzykowie, którzy po nocy chcą uczynić napad?

— Na zbójów nie wyglądają, bo w ryszunku są wojennym — odparł Lubomir.

— Nie godzi się odmawiać gościny wędrowcom w taki czas, bo gość w dom, Bóg w dom! Puśćcie ich, ale miejcie pilnie na oku — rozstrzygnęła wkrótce.

Za chwilę wkroczyło przez bramę dziesięciu mężów ubranych w krótkie kozuchy, w kapuzach na głowie z wilczemi ogonami, w ciężkich buciskach z wysokimi cholewami. Wszyscy z mieczami przy boku, o groźnych obliczach z soplami lodu na wąsiskach.

Wprowadzono ich do ciepłej świetlicy i z ciekawością otoczono kołem, oczekując wieści o wojstkach królewskich. Pani tymczasem kazała przygotować dla nich grzane piwo i strawę.

Zasiedli na dębowych ławach i w milczeniu rozglądali się wokół, patrząc z podełba na otaczających domowników i na ściany z porozwieszaną bronią.

— Odpaszcie miecze i zdejmijcie kozuchy, boć w gościnie u swoich jesteście! zachęcał ich Lubomir.

— Zaraz to uczynim, tylko piwa gorącego wypijem! — odpowiedział śmiejąc się chytrze jeden z nich widocznie przywódca.

Gdy służebne w kubkach podały im piwo, pili je chciwie i z pośpiechem dziwnym a odłożywszy naczynia i otarłszy rękami wąsy zawołali: teraz odpaszemy miecze!

To mówiąc, powstali z ław dobyli mieczów i nim kto z domowników mógł się spostrzec, uderzyli przeważnie na bezbronnych. Kilku bliżej stojących padło trupem a między innymi pierwszy sędziwy Lubomir z rozplataną na dwoje czaszką, reszta służby w popłochu uciekła z izby, wołając pani i strażników.

W całym domostwie zapanowało przerażenie, Pierwsza opamiętała się Zbigniewa.

Oddawszy chłopców w opiekę służebnej, po-

chwyciła za oszczep a zwoławszy ku sobie kilkunastu ludzi, wpadła z nimi do świetlicy jak lwica.

Za przykładem dzielnej pani uderzyła służba na zbójów i wywiązała się krótka na śmierć i życie walka.

Przy jasnym świetle łączywa błyskały miecze i topory, dyszały ciężko piersi i odzywały się okrzyki bojowe i straszne jęki rannych. Zbójce otoczeni przez przeważające siły bronili się z wściekłością, ale z jakimś lękiem ustępowali przed oszczepem samej pani i tylko parowali jej uderzenia. Czterech ich padło, ale reszta broniła się, atakując z coraz większą furją.

Zdawało się, że szczupłe siły załogi zdławią opryszków, ale nagle padła sama pani ugodzona w ramię mieczem a równocześnie wtargnęła przez opuszczoną bramę nowa banda na pomoc zbójom z bojarem Wasylką na czele.

Walka się szybko skończyła.

Pogrom obrońców gródka był zupełny a panem jego był teraz Wasylko.

Znalazszy Zbigniewę we krwi leżącą wpadł w wściekłość.

— Kto ją zabił — krzyknął — wbrew rozkazowi?

— Nie zabita ona, lecz tylko omdlała i ranna — odpowiedział jeden z opryszków. Oszczędzaliśmy, ale sama z oszczepem rzuciła się pod miecze a nawet uśmierciła jednego z naszych.

Z wielką pieczołowitością kazał ją podnieść, przenieść na łożo i ranę obwiązać. Następnie wydał rozkazy, aby jej dzieci utopił, rannych straż-



ników dobić a sam gródek splondrować do-  
szczętnie.

Z radosnym krzykiem rzucili się zbóje do  
spełnienia rozkazów krwiożerczego dowódcy a  
przedewszystkiem do rabunku.

Jeden z Rusów, będących w służbie Mściboja,  
który ocalał z pogromu, usłyszawszy rozkaz u-  
topienia dzieci, porwał chłopców, schował pod  
kożuch i wybiegł z nimi w puszcę wśród mroź-  
nej nocy, aby ich ocalić. Tam mając znaną so-  
bie pieczarę, położył ich płaczących, owinąwszy  
szczelnie kożuchem na liściach a otwór zastonił  
zwalonemi pniami i gałęziami przed dzikim  
zwierzem.

Gdy powrócił, szukano za dziećmi.

Chytry a wierny sługa wpakował do worka  
kilkoro młodych szczeniąt i podając jednemu z  
oprysków wór ze szczeniętami i sztukę złota  
rzekł spokojnie: Oto dzieci Mściboja we worze!  
Idź i prędko utop w przerębli, jak wódz rozkazał,  
abyś potem głową nie nałożył.

Opryszek spełnił ohotnie polecenie i zamel-  
dował o tem Wasylce.

Po opatrzeniu rany blada, jak gieżło z upływu  
krwi, Zbigniewa, gdy przyszła do przytomności i  
sposzregła u nóg swoich siedzącego Wasylkę,  
wpatrującego się w nią z zachwytem, wykrzy-  
knęła!: Zbój! cóżes uczynił? Gdzie moje dzieci?

Wasylko milczał.

— Mścibój pomści tę krzywdę naszą i za krew  
niewinną, krwią swą zapłacisz! — z wysiłkiem do-  
dała i osunęła się na poduszki nieprzytomna,

O świcie ranną Zbigniewę, okrytą kożuchami,  
kazał przenieść na noszach na wóz a gródek z

czterech rogów podpalić, poczem z towarzyszami wsiadł na koń i ze swym drogocennym łupem powoli, nieścigany, ruszył do Przemyśla.

Przez całą dobę płonęły dębowe wieżycy i domostwo Mściboja, oświetlając krwawym blaskiem puszcę wśród straszego wycia zgłodniałych wilków i cichego płaczu w pieczarze jego małych chłopiąt.

### ROZDZIAŁ III.

„Korol Bolko ide“! szeptali z trwogą Rusowie w Przemyślu i gotowali się do obrony.

„Król Bolko idzie“! radośnie wołali Polacy i zbierali się na tajne narady.

Wieści te potwierdzili liczni zbiegowie ruscy wyparci przez króla z różnych gródków, którzy szukali obecnie schronienia w potężnym grodzie przemyskim i rozpowiadali o niezliczonych wojskach królewskich idących, jak burza z pod Kijowa na Przemyśl.

Przemyśl wówczas nie był jeszcze w znaczeniu dzisiejszem miastem, podobnie jak inne miasta, lecz warownym grodem otoczonym fosami i ziemnemi wałami z dębowemi wieżycami i basztami a zamkniętym silnemi bramami i zwodzonymi mostami. Poza obrębem wałów na szczycie wyniosłego wzgórza zamkowego<sup>1)</sup>, wznosił się zamek książęcy z ciosów kamiennych zbudowany

<sup>1)</sup> Tu gdzie dzisiaj trzy krzyże, W r. 1891 w czasie zakładania fortyfikacji znaleziono tu wiele starożytnej broni, ślady murów, dębowe nadpalone belki i ślady spaleniska.

a w wieże i baszty z dębowych bierwion zaopatrzone, uchodzący za niezdołbyty.

Na zamku rezydował książę Rostisławicz, który nie tylko w zamku, ale w całym grodzie był nieograniczonym panem życia i śmierci i miał na swe zawołanie liczne drużyny ruskich wojowników i zaciężnego żołnierstwa z pogańskich Pieczyngów i Połowców złożonego.

Z Polaków zostali ci, co musieli, co mieli swoją ojcowiznę, pamiętający jeszcze owe radości pełne lata, kiedy to Bolesław Chrobry (1018 r.) odebrał Rusom Przemyśl i przyłączył do Polski. Reszta prześladowana, gnębiona i pozbawiona władzy i dóbr uszła na tułaczkę do macierzy. Wśród tych pozostałych Lechitów przewodzili najstarsi wiekiem Bożymir i Sędzimir, prawdziwi patriarchowie, którzy jako młodziankowicze walczyli jeszcze pod Chrobrym o Przemyśl.

Na wieść o pochodzie Bolka Śmiałego zebrało się w gospodzie pod „Niedźwiedziem“ kilkunastu starszych polskich rycerzy na naradę.

Zaufany a usłużny gospodarz roznosił w kubkach cynowych grzane piwo i miód. Na kominie jasnym blaskiem płonęły smoliste szczapy sośniny, wokół zaś zajęli rycerze dębowe ławy i popijając gwarzyli.

— Niedługo król i pan nasz Bolko podstąpi pod Przemyśl, — mówił siwowłosey, ale krzepki rycerz Bożymir — aby odebrać z powrotem swoją ojcowiznę. Czyż nam nie godzi się pospieszyć ku Niemu, ofiarować swojej pomocy i prosić o łaskę, zmiłowanie i oswobodzenie od tego ciężkiego jarzma przeklętych Rusów?

Pamiętam z opowiadania mego rodzica — cią-

gnał dalej starzec, — że to już 90 lat dochodzi, jak nasz gród zagarnął po raz pierwszy księżę Włodzimierz za Mieszka<sup>1)</sup> a w 37 lat później<sup>2)</sup> odbił go sławny nasz król Bolko Chrobry, ale po jego śmierci znów Rusowie nim owdładnęli i dzierzą go już przeszło pół wieku.

— Odbije go teraz prawnuk Chrobrego nasz Bolko Śmiały! — wykrzyknęli zebrani.

Ale trzeba króla uwiadomić, prosić i pomoc Mu wedle możności; niech wie, że nie sami Rusowie siedzą w tym grodzie, ale że ma tu wiernych rycerzy — dokończył Bożymir, uderzając w pochwę miecza.

— Gdzie jest obecnie król? — zapytał Sędzimir.

— Rusowie mówią, że Czerwień<sup>3)</sup> oblega — wyjaśniał Bożymir — tam trzeba nam jechać i króla szukać.

Straszna puszcza rozdziela i dużo dzikiego zwierza po drodze — zauważył ktoś z obecnych.

A przecież tę puszcę kupcy bizantyńscy i żydowscy przechodzą i przeszli ją dopiero, sprowadzając ze Wschodu towary dokończył Bożymir.

Po długich naradach uchwalili zebrani wysłać rycerzy Sędzimira i Bożymira do króla.

Wśród srogiej zimy oblegał król Bolko Czerwień, przypuszczając szturm po szturmie do za-

<sup>1)</sup> W r. 981.

<sup>2)</sup> W r. 1018.

<sup>3)</sup> Czerwień dawna twierdza polska. Gdzie leżał nie wiadomo. Niektórzy historycy wyznaczają mu miejsce koło Chełmu. Być może, że tę nazwę nosił Lwów, co niedawno Paderewski podkreślił w 10 lecie obrony Lwowa, wywodząc nazwę od czerwieniejącej jesienią buczyny.

ciekle bronionei twierdzy. Równocześnie stał na wsze strony a szczególnie pod Przemyśl gońców, aby zasięgnąć języka, co się tam dzieje i wielce się niecierpliwił, iż znikąd pewnych wieści nie było.

Siedział w namiocie z niedźwiedzich i żubrzych skór uczynionym koło małego ogniska w otoczeniu przedniejszych rycerzy, gdy dano mu znać, że dwaj sędziwi mężowie z Przemyśla przybyli i pilno chcą się mu pokłonić.

Bez zwłoki kazał ich wprowadzić do namiotu.

Dwaj rycerze Sędzimir i Bożymir stanęli przed Nim nieśmiało, pochylając się do klan królewskich w niskim pokłonie.

— Skąd przybywacie? Co zacz jesteście? Jakie wieści mi przynosicie? — odezwał się dźwięcznym głosem do przybyłych młody król Bolko.

— Z grodu my przemyskiego rycerze, zwą nas Sędzimirem i Bożymirem. Przybywamy jako wysłańcy Lechitów, którzy uszli z pod zemsty i ręki Rusów i radziby zrzucić ich jarzmo, z prośbą i błaganiem do Ciebie, Miłościwy Panie, o wyzwolenie nas z tej niewoli. Twój wielki pradziad, o królu, nasz sławny Bolko Chrobry, pół wieku temu wyzwolił nas, ale nie długo cieszyliśmy się wolnością, bo za twego dziada Mieszka II poraz wtóry popadliśmy w niewolę i dotąd ją znosimy.

Król Bolko słuchał pilnie, badawczo poglądając w oczy przybyłych, jakby im chciał do duszy zajrzeć wreszcie wyrzekł.

Przemyśl to gród drogi memu sercu, to dziedzictwo i spuścizna po przodkach. Dzierżyli go jeszcze moi przodkowie w pogaństwie żyjący, odebrał sławny pradziad Chrobry, ale dziadowie



i ojcowie zaprzepaścili, jednak ja odbiorę go z powrotem, bo to moja ziemia i moja ojcowizna! Jak slysze gród to ma być potężny, wałami i srogimi basztami umocniony z zamkiem na wyniosłej górze wielce warownym.

— Prawda, że warowny — odrzekł Sędzimir — ale przecież ludzką ręką uczyniony, więc i ludzką ręką zniszczony być może...

— Kijów jeszcze warowniejszy a zdobyłem, zdobędę i Przemyśl, jeno się uporam z Czerwieńcem, który dziś lub jutro wpadnie w nasze ręce. Za sześć niedziel, gdy tylko pociepleje, na święto naszego patrona św. Wojciecha zawitam do Przemyśla w gościnę.

Rusowie mię oszukali — ciągnął król — za osadzenie na stolcu książęcym Izasława obiecywali oddać Grody Czerwieńskie i Przemyśl a tymczasem się bronią, ale to im nie pomoże, wyženę ich precz i odbiorę swoje.

— A nie próbowaliście sami wyprzeć Rusów z Przemyśla?

— W małej my teraz sile Miłościwy Panie i nie zdzierzym Rusom. Oni będąc w przewadze, wielce nas uciskają i gwałty czynia, nawet dziewczki nasze porywają na rozpustę do zamku a gdy chwycimy za miecze bez miłosierdzia gnębia, w lochach zamykają a nawet żywota pozbawiają — skarżyli się ze łzami w oczach wysłańcy.

— Gorze im! — wykrzyknął król. — Za sześć niedziel wyženę ich precz a ich dziewczki oddam na uciechę moim wojownikom!

Wypyawszy w końcu wysłańników o siły zbrojne Przemyśla i o umocnienia wa-

łów obdarował ich hojnie i na znak swej łaski wręczył im dwa drogie pierścienie.

Wyszedszy obdarowani rycerze mówili do siebie: „Nasz król Bolko nie tylko jest śmiały, ale i szczodry!“

#### ROZDZIAŁ IV.

Wasyłko uprowadziwszy podstępnie Zbigniewę umieścił ją jako swą brankę w jednym z dworców w Przemyślu, wśród dostatku i przepychu pod strażą wiernej służby. Ponieważ po przywiezieniu rana jej bardzo krwawiła a branka leżała w wielkiej gorączce, sprowadził z zamku zdolnego medyka Greka i kazał mu ją leczyć.

Greki oglądnął ranę, opatrzył, bandażami owinął, przepisał dla chorej maść, zalecił spokój i orzekł, że rana nie jest groźna a byle tylko zostawiono ranną w spokoju do kilku tygodni będzie zdrowa.

Ucieszony Wasyłko obdarzył hojnie złotem Greka i wyjechał z rozkazu księcia z podjazdem pod obóz polski.

Gdy po kilku dniach Zbigniewa przyszła do przytomności, ze zdziwieniem poczęła rozglądać się po bogato przybranej komnacie i przypominać sobie jak straszny, koszmarny sen, cały napad i krwawą walkę w gródku.

— Gdzie jestem? Gdzie moje dzłeci? W czyich rękach się znajduję? — wołała jęcząc i opadając na poduszki bezsilna.

Zjawiły się w niskich pokłonach pokorne służki Wasyłki wyjaśniając: Nasz młody bojar przywiózł cię, dostojna pani, do Przemyśla i tu ranną złożył. On dobry pan, on ciebie bardzo kocha,

on wezwał z zamku medyka. Nie bój się, krzywdy ci nie uczyni, ale złotem obsypie...

— O Boże, zmiłuj się nademną!—jęknęła w odpowiedzi ranna i krzyknęła donośnie: Gdzie moje dzieci? Powiedźcie mi zaraz!

Służki zamilkły i poczęły wzruszać ramionami, sądząc, że ranna w malignie bredzi.

— O dzieciach my nic nie wiemy i żadnych dzieci tu niema, usprawiedliwiały się, może coś o nich wie bojar.

— Wołajcie zaraz tego waszego zbója — bojar!

— Bojar pojechał na wyprawę z wojskiem i lada chwila wróci, to mu powiemy — odpowiedziały.

Więcej od rany i od niewoli bolał Zbigniewę niepokój o dzieci.

Nazajutrz zjawił się sam Wasylko, strojny w jedwabie i aksamity z mieczem u boku, młody, piękny, pełen życia i siły.

Z gorejącymi oczyma, od wrzącej w nim namiętności, zbliżył się do łoża chorej i z obleśnym uśmiechem wyrzekł: Obwieściły mi służki, że dostojna pani wzywasz mię. Otóż jestem na twe zawołanie ja twój sługa i niewolnik, racz tylko rozkazać!...

— Podły zbój! — krzyknęła w uniesieniu — gdzie moje dzieci? Co z nimi uczyniłeś? Powiedz!

— To tak mię wita moja branka, którą zdobyłem! — wyrzekł z wymówką. — Czyż ja jestem piastunem twoich dzieci?

Nie chciałaś być moją z wolą, to jesteś po niewoli, bo ciebie przeklął laszkę nadewszystko umiłowałem na swoje nieszczęście i raczej cię zabiję, aniżeli Mścibojowi oddam!



Śluchała z rozwartemi oczyma, pełna przerażenia i grozy.

Nigdy twoją nie będę! Zabij mię, jak zabiłeś moje sługi i może moje dziatki, ale pamiętaj, że Mścibój żyje, przyjdzie tu wnet z królem a wtedy tobie biada! Za swe zbrodnie krwią zapłacisz!

Nie straszny mi twój Mścibój. Nie wiemy komu śmierć pierwaj pisana mnie, czy jemu. Tymczasem ty moja branka. Medyk zalecił ci spokój, więc się pomiarkuj, namyśl się, a jak ci się polepszy, to pomówimy jeszcze.

To powiedziawszy wyszedł.

Z rozkazu kniazia zmuszony był znów wyjechać z wojskiem, aby zasięgnąć języka, bo wieści dla Rusów przychodziły coraz groźniejsze. Oto król Bolko następował i deptał bezlitośnie ciężką swą stopą ruskie grody i gródki i obsadzał polską załogą, zbliżając się w szybkich marszach pod Czerwień. Z tych grodów w popłochu uciekali Rusowie, chroniąc się do Przemyśla.

Odgłosy walk, jak groźne pomruki nadchodzącej burzy wojennej, dochodziły do zamku przemyskiego i odbierały ducha najodważniejszym.

Nie dziw, że w tem położeniu tracił odwagę także Wasylko i chciał za każdą cenę skończyć ze swą branką przed nadejściem wojsk królewskich.

Po powrocie więc z wyprawy znów odwiedził ranną Zbigniewę, ale spotkał się z takim samym przyjęciem. Branka nie tylko nie chciała się poddać i upokorzyć, ale ciągle groziła zemstą.

Był w rozpacz i sam nie wiedział, co począc. Pożądał jej, ale równocześnie bał się, kochał a nienawidził. Czuł, że lżej byłoby dlań zabić ją,



aniżeli oddać z powrotem Mścibojowi, ale zabić nie miał odwagi.

Widząc, że w samym mieście robi się coraz goręcej postanowił umieścić ją na zamku, jednak książę stanowczo się temu sprzeciwiał i nie była po temu pora.

Tymczasem, z nadchodzącą wiosną, branka przychodziła szybko do zdrowia, a ze zdrowiem odzyskiwała jeszcze większą energję i moc ducha. Ta jej jakaś dziwna moc onieśmiewała zakochanego bojara i hamowała.

Czynił sobie wyrzuty, że jej siłą nie może zniewolić, że zamiast próśb i błagań nie użyje groźb i swej władzy nad nią nieograniczonej.

W tej rozterce ducha poszedł do niej z silnym postanowieniem zmuszenia jej siłą i gwałtem do uległości.

Już się zbliżył, już pochwycił w ramiona, ale w tej samej chwili nóż błysnął w jej niezagojonej prawicy, a równocześnie na odlew lewica wymierzyła mu siarczasty policzek, aż się zatoczył.

Wściekłość go ogarnęła i miasto miłości i pożądania pragnął teraz tylko pomsty, kary i jej poniżenia.

Już dobył miecza, żeby ją zabić, ale pod jej spojrzeniem cofnął się, jak dziki zwierz przed spojrzeniem pogromcy i z powrotem miecz schował do pochwy, dyszac ciężko.

Dumna branka, jak groźna pani i władczyni stała przed nim z nożem w ręku mówiąc: Precz z moich oczu nikczemny zbój!

Odepchnięty, spoliczkowany i poniżony bojar zgrzytnął z wściekłości zębami i krzyknął: Gorze

ci przekłeta laszko! Nie chcesz być moją, nie będziesz także Mściboja, lecz niewolnicą pogańską!

Trzasnąwszy drzwiami wybiegł, jak oszalały z komnaty i wpadł blady i nieprzytomny do swej izby leżącej z drugiej strony domu.

Z początku biegał po izbie, jak dziki zwierz w klatce, potem pochwycił gąsior wina i zaczął chciwie pić, jakby chciał ugasić ten żar i płomienie, które zeń buchały.

Po pewnym czasie wetknął do izby nieśmiało głowę jego pacholik mówiąc: Kupiec bizantyjski Kostopulos, który dostarczył tkanin dla branki, chce się pilno z waszą miłością widzieć!

— Wpuścić go! — dał rozkaz.

W długim, jedwabnym chałacie podbitym futrem wszedł stary, poważny kupiec z Carogrodu nazwiskiem Kostopulos, który przed kilkoma tygodniami, przybywszy do Przemyśla z całą karawaną z Rusi, wiele dostarczył tkanin na rachunek Wasylki.

Był on jakoby starszym i zwierzchnikiem wszystkich przybyłych z nim kupców.

Po powitaniach i pokłonach, gdy usiadł, odezwał się do Wasylki: Przyszedłem, aby zapytać się waszej miłości, czy czego nie potrzebuje i prosić go o zapłacenie reszty należytości za towar, bo my lada dzień wyjeżdżamy z Przemyśla do Węgier. Wojna się zbliża, a wojna i oblężenie nie zawsze dobre dla naszych interesów...

— Dobrze żeś przyszedł, bo i ja coś mam do sprzedania.

— Bardzo dobrze! — My sprzedajemy i kupujemy, jednak tylko dobry towar.

— Będzie to lepszy i ładniejszy towar od twego — zaśmiał się z ironią.

— Co to za towar?

— Moja branka...!

Nie bardzo się Grek zdziwił, bo w onych czasach handel taki kupcy bizantyńscy a zwłaszcza żydowscy w Polsce i na Rusi prowadzili i często już to niewolnice już to niewolników wywozili do Bizancjum a stamtąd do Azji dla Muzułmanów.

— Ten towar w czasie pokoju jest w większej cenie, ale w czasie wojny wielce niebezpieczny i niepewny — zauważył kupiec.

Co zacz jednak ta branka? — zapytał z ciekawością.

— Moja własna, którą zdobyłem orężem — odpowiedział wykrętnie bojar.

— Czemu ją wasza miłość sprzedaje?

— Z powodu wojny i bliskiego oblężenia Przemysła.

— Czy można ją obejrzeć?

— Można, tylko ostrożnie, bo trochę dzika... zarechotał już podpity. To mówiąc zaklaskał w dłonie.

Wpadł pacholik.

— Zawezwiesz służkę Ołenę! — zawołał.

Gdy się służka zjawiała, rozkazał zaprowadzić kupca do komnaty Zbigniewy.

Stary kupiec za służką wszedł do środka a złożywszy ukłon, począł się pilnie brance przyglądać, oceniając ją zdała okiem znawcy i mlaskając z zachwytu językiem.

Po dość długiej chwili zbliżył się i z całą poufalością, wyciągnął do niej rękę, jakby ją chciał pod brodę pogłaskać..

Zerwała się Zbigniewa i cofając twarz zasłoniła się ręką, mierząc zdziwionego kupca swoim dumnym wzrokiem.

Zobaczył ją w całej okazałości.

Stała przed nim groźna, piękna z rozpuszczonymi włosami, z gorejącymi koloru szafiru oczami okolonemi czarną brwią, o zgrabnym greckim nosie i małych ustach.

Pod lekką szatą pierś jej falowała z gniewu i oburzenia; poczęła się instynktownie domyślać, że jest wystawiona na... sprzedaż!

Kupiec skłoniwszy się grzecznie, wyszedł.

— No i cóż towar dobry? Nadaje się? — pytał gorączkowo Wasylko.

— Towar ładny i dobry, ale nie wiele wart dla kupca — skrzywił się Grek.

— Dlaczego?

— Bo dzika to branka i dużo z nią będzie kłopotu; trzeba ją dopiero obłaskawiać i układać, jak konia stepowego, zanim będzie ją można sprzedać. Mam ją — ciągnął kupiec — u siebie trzy niewolnice, które kupiłem, ale wszystkie łagodne i posłuszne, choć nie tak piękne. Ta dużo nie warta!

— Więc kupisz ją, czy nie, bo nie mam wiele czasu do targowania się?

— Niech stracę, — kupię! Co wasza miłość żąda?

— Dasz sto dukatów bizantyńskich i z długu zwolnisz.

— Ho ho! Sto solidów<sup>1)</sup> gotówką a trzydzieści długu, to razem sto trzydzieści — kręcił kupiec głową.

— Ile dasz? krzyknął rozgniewany bojar.

— Trzydzieści solidów, czyli skwitujemy się, głowa za głowę, za dług niewolnica.

— Szkoda howoryty! Niedasz ty, to dadzą inni. Sprowadzę kupca żydowina, Ezechiela, to ten da chętnie za nią stotrzydzieści dukatów i zrobi na niej dobry interes.

— Gdyby nie była taka dzika, zła i zuchwała, dałbym może nawet sto, daliby także i inni, ale tak trudno, i Ezechiel nie da więcej, jak ją zobaczy.

— Zresztą mogę dołożyć najwyżej dziesięć solidów...!

— Oszalałeś, czy drwisz zemnie?

— Nie wasza miłość! — Tylko towar niezdatny w naszym interesie.

Już chciał kupiec odchodzić, ale jakoś nie spieszo mu było, dokładał po dwa dukaty a Wasylko spuszczał po dziesięć i ostatecznie dobili targu.

Kupiec skwitował Wasylkę z dłużnej sumy trzydziestu dukatów i wysypał na stół z trzosu czterdzieści sztuk złota, jęcząc i desperując, że na tej transakcji traci.

Po zapiciu winem tego kupna czyli moho-

---

<sup>1)</sup> Solidy, bizantyny albo dukaty bizantyńskie była to wówczas ogólnoswiatowa moneta złota biała w Bizancjum. O wysokiej jej wartości świadczy to, że z funta złota wybijano tylko 72 sztuki.

ryczu udali się obaj w towarzystwie służebnych niewiast do komnaty sprzedanej niewolnicy <sup>1)</sup>.

Na pół pijany bojar stanawszy zdala koło progu odezwał się do kupca, wskazując na Zbigniewę w te słowa: Wobec świadków oddaję ci na własność tę, oto moją branke jako twoją odtąd niewolnicę a zwracając się do niej dodał: Wiedz, iż od tej chwili nie jesteś moją branką, lecz niewolnicą tego oto szlachetnego kupca greckiego Kostopulosa, który cię kupił na własność i jest twoim panem!

Zbigniewa słysząc te słowa wstała z ławy pełna przerażenia, źrenice się jej nagle rozszerzyły, usta otwały jakby do krzyku, błędnym wzrokiem powiodła wokół po obecnych, zatoczyła się jak pijana i chwyciwszy się ręką za pierś, padła z jękiem nieprzytomna na podłogę.

## Rozdział V.

Po zdobyciu i obsadzeniu załogą polską Czerwień ruszył król w kilkanaście dni później wprost na Przemyśl.<sup>2)</sup>

Pozostawisz tabory za sobą, gnał z jazdą i piechotą jak burza przez bory i rzeki w po-

---

<sup>1)</sup> Handel taki był wówczas dozwolony a Polska i Ruś były wielkim targowiskiem niewolników. Trudnili się nim głównie kupcy żydowscy z Bizancjum a po części i greccy, wywożąc „żywy towar“ na Wschód. Historia wspomina, że żona Władysława Hermana, Judyta czeska, wykupywała tych niewolników z rąk żydowskich.

<sup>2)</sup> Walki pod wałami, oblężenie, zdobycie Przemyśla i zamku wedle: „Historia Polonica Ioannis Długosii.“

spiesznych marszach, drogą wyrąbaną jeszcze w czasach pogańskich, wśród budzącej się do życia pod tchnieniem wiosennych, ciepłych wiatrów przyrody.

Na widok wojsk królewskich wybiegali z mrocznych ostępów nieśmiało lechiccy osadnicy, żyjący z chowu bydła i myśliwcy, polujący na zwierzynę i pracowici oracze, krający sochą chlebo-dajne a wydarte puszczy pola, wołając radośnie: Witaj nam, witaj, miły gospodynie!

Wśród okrzyków i powitań wiernego ludu jechał król Bolko radosny i promienny na czele armii w połzocistym pancerzu z kunsztownie wykowanym na nim królewskim znakiem Orła białego, w srebrzystym szyszaku, w otoczeniu najprzedniejszych rycerzy, jako oswobodziciel i błogosławiony zbawca, aby odbić ostatni swój gród, Przemysł, z rąk Rusów.

Wyniosłej postawy o szerokich barach, jak jego wielki pradziad Bolko Chrobry, o obliczu pięknem, dumnym i spalonym wichrami, w 28 roku swego życia, podobny był do orła górskiego, który wzlata nad niebotycznymi szczytami i niezglębionymi przepaściami.

Orzeł to był prawdziwy, który śmiałym lotem przeleciał pod Kijów a teraz zamyslał o wielkich czynach, pragnąc dorównać swemu pradziadowi.

Jechał zadumany i sięgał myślą tam, gdzie orły nie sięgają i „gdzie wzrok nie sięga.“

Myśl unosiła go bowiem aż do stolicy Namiestnika Chrystusowego, wielkiego Grzegorza VII., którego cieszył się przyjaźnią, nazwany przezeń „ukochanym synem“.

Na tej przyjaźni potężnego przeciwnika cesa-



rza niemieckiego Henryka IV i na Węgrach budował i snuł wielkie dla siebie i dla potęgi Polski plany.

Oto po zdobyciu Przemyśla zamyślał wyzwolić się z pod osłatek zależności niemieckiej, złączyć rozprószone plemiona słowiańskie, zdeptać kłótliwych kniaziów ruskich, wbić słupy graniczne w Dnieprze, zająć Pomorze i oprzeć się na północy o Bałtyk a na południu o Czarne Morze tak, aby jego dzierżawy sięgały od Dunaju do Bałtyku i do granic cesarskiego Bizancjum.

W swych dumnych marzeniach roił już wówczas pod Przemyślem o koronie cesarza Słowiańszczyzny z Polską na czele, uważając się za równego cesarzowi bizantyńskiemu a nawet niemieckiemu...

Z tych marzeń wyrwał go jego przyboczny rycerz meldując: Miłościwy Panie! Podjazd przybył z pod Przemyśla!

Ocknął się król z zadumy i kazał przyzwać dowódcę.

Zjawił się Mścibój w zbroi, chmurny jak noc, czekając rozkazu.

— Mów co z Rusami? Azali się poddać, nie zamyślają?

— Rusowie — odrzekł Mścibój — gromadzą broń, wały umacniają i bydło pędzą do grodu, zamierzając się bronić do upadłego.

— Szkoda krwi chrześcijańskiej, ale nie moja wina — odrzekł król spokojnie.

Mścibój z gródka, rówieśnik króla, był wielkim Jego ulubieńcem i niedawno otrzymał od Niego przydomek „Stary koń“ za wyświadczoną przysługę.

W czasie bowiem wyprawy kijowskiej, gdy pewnego razu król z małym orszakiem oddalił się od swej armji, został nagle otoczony i napadnięty przez przeważające siły ruskie.

Wówczas to, gdy ubito pod królem konia, Mścibój podał mu starego swego rumaka, na którym król nie tylko zdołał ująć z zasadzki, ale sprowadzić odsiecz na pomoc garstce rycerzy z Mścibojem opierającej się ostatkiem sił nawale nieprzyjacielskiej.

W nagrodę za ten czyn, król nadał Mścibojowi przydomek czyli herb „Stary koń“, którym do dziś dnia pieczętują się jego potomkowie <sup>1)</sup>

Po złożeniu dokładnych relacyj ozwał się rycerz nieśmiało: Choć nie na to pora, Miłościwy Panie, ale dodam, iż straszny cios mię od Rusów spotkał...

— Mów śmie! — odrzekł król dobrotliwie,

— Wierny mój sługa — począł opowiadać Mścibój — doniósł mi z mego gródka nad Sanem leżącego, iż Rusowie, z bojarem Wasylką na czele, ogniem spalili moje domostwo, mieczem pobili sługi a moją umiłowaną niewiastę wprowadzili ze sobą do Przemyśla, zaś moje małe dziatki, dwóch bliźniaków Mieszka i Bolka, kazali utopić.

Pozwól mi, Miłościwy królu, wybrać się choćby samoczwart, abym zbadał całą sprawę, wyszukał winowajcę i pomścił moją krzywdę!

Z prawdziwem współczuciem wysłuchał król opowiadania wiernego swego rycerza i rzekł:

---

<sup>1)</sup> Herbarze polskie.

— Nie samoczwart, ale z pięciuset wojownikami pójdziesz na podjazd do swego gródka.

Wróg, który ci taką krzywdę uczynił jest zarazem i naszym wspólnym wrogiem, nad którym zacięży moja prawica i nawet wały obronne Przemyśla nie ochronią go przed karą.

Nie mieszkając, ruszył Mścibój na czele pięciuset wojowników pod swój gródek z rozpaczą w sercu.

Wieści okazały się prawdziwemi.

Z gródka pozostały jedynie zwaliska i kupa gruzów, po których snuł się jeno dziki zwierz. Ani małżonki i dziątek, ani ze służby nie było wokół nikogo.

Dopiero po długich poszukiwaniach znaleziono w pieczarze na skraju puszczy starego sługę, który tam się ukrył a z nim dwoje małych chłopiąt, żywych i zdrowych.

Z opowiadania wiernego sługi dowiedział się rycerz o strasznej prawdzie.

Wielką pociechą w tym ciosie było dlań odnalezienie dziątek. Odzyskawszy je, nie posiadał się z radości, pieścił, hołubił i płakał, poprzysięgając sprawcy krwawą zemstę, poczem zabrawszy je, ruszył szybko pod Przemyśl, gdzie spodziewał się zastać już króla.

Po dwutygodniowym pochodzie, w połowie kwietnia 1071 r., przeprowił się król przez San i począł zbliżać się pod wały Przemyśla.

Równocześnie zdala ukazały się w różnych stronach liczne podjazdy Rusów, jakby chciały bronić dostępu.

Nie zwlekając wysłał król ku nim kilka oddziałów swych wojowników, które po krótkich

utarczkach przegnały je, zabierając kilkaset sztuk bydła.

Mścibój, który właśnie wracał z pod swego zburzonego gródka, napotkał na swej drodze jeden z takich ruskich oddziałów. Umieściwszy dzieci w bezpiecznym miejscu uderzył z wściekłością i rozbił w puch Rusów zabierając liczne łupy i jeńców.

Od bramy wschodniej miasta<sup>1)</sup> rozpoczynało się szczerze pole i olbrzymie błonie ciągnące się aż do Wiaru, za którym dopiero szumiała puszcza.

Na temto błoniu począł król rozbijać obóz w odległości około tysiąca kroków od wałów<sup>2)</sup>.

Tu przyjął raporty od poszczególnych wodzów i od Mściboja, wysłuchał łaskawie jego opowiadania mówiąc:

Przyrzekłem ci dopomóc do odzyskania twej małżonki i po zdobyciu Przemyśla ukarać winowajcę jak zbója.

— Dzięki Ci, Miłościwy Panie! — odpowiedział rycerz.

Zanim odnalazłem dziatki, zamierzałem postąpić z nim, jak ze zbójem i pojماwszy go, oddać Tobie, Miłościwy Królu, do ukarania, lecz gdy dziatki odzyskałem, chcę za twem królewskim zezwoleniem stoczyć z nim śmiertelny bój na miecze alibo topory...

— Miarkuję, że za swą krzywdę chcesz go sam ukarać i postąpić z nim, jak z wojownikiem i rycerzem, a nie jak ze zbójem. Niechaj się sta-

<sup>1)</sup> Tu, gdzie dzisiaj Plac na Bramie. W późniejszych wiekach nazywano tę bramę „lwowską“.

<sup>2)</sup> Mniej więcej gdzie dzisiaj młyn Fränkla.

nie wedle woli twojej. Ale jeśli — co nie daj Bóg — ty polegiesz?

— Wówczas — wierzę w to — iż ty królu pomścisz mię i ukarzesz go!

— Nie zawiedziesz się, bo przebóg uczynię to i dostawszy w swe ręce, każę go ze skóry żywcem obłupić!

Powiedz mi jednak, czy twoja małżonka znajduje się w Przemyśle?

— Tak jest, Miłościwy Panie! Jest ona albo w samym grodzie, albo na zamku i gdzie indziej być nie może.

— Pod wałami grodu przemyskiego jak się dowiaduję — ciągnął król Bolko — Rusowie zechcą spróbować szczęścia, ale to im nic nie pomoże.

— Będą harce i walki.

— Szczęść ci Boże! — zakończył i pożegnał łaskawie Mściboją.

— Gdy wojsko rozłożyło się obozem poczęły z warowni przemyskiej — jak król przewidywał — wymykać się przez bramę i most zwodzony mniejsze oddziały wojowników ruskich pieszych i konnych, i podsuwając się pod obóz królewski, dawnym zwyczajem wyzywały na bój polskich rycerzy, łącząc ich sprośnemi słowy.

Byli to harcownicy.

Za zezwoleniem królewskiem rzucili się ku nim wyzwani rycerze a w pierwszej linji Mścibój i poczęły się toczyć straszne pojedynki na miecze i na topory z różnem szczęściem, na które jak

na teatrum patrzyli z wałów Rusowie i wojska królewskie z obozu.

Wśród tych harcowników najstraszniejszym był Mścibój.

W swej czarnej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą, na karym ogierze, darowanym mu przez króla za jego starego konia, uwijał się z kopją w rękę po pobojowisku, szukając swego wroga, Wasylka.

Nie znalazłszy go, uderzał na innych, z wielką siłą i wściekłością z siodła zrzucając na ziemię.

Rusowie wobec takiej przewagi cofali się ku wałom, unikając straszego męża.

Jednemu z pokonanych wojowników ruskich darował życie i kazawszy wracać do Przemyśla takie dał zlecenie: Daruję cię życiem, abyś wrócił i obwieścił Wasylce, iż rycerz Mścibój z gródka, któremu on całe obejście z dymem puścił, niewiastę porwał, dziatki kazał utopić i sługi wytracić — wyzywa go na miecze, alibo topory i chce stoczyć z nim śmiertelny bój. Jeśli nie stanie, za lęklivego zbója uważać go będę a pojmawszy, pasy zeń drzeć każę i obwieszę na suchej gałęzi.

Przerażony Rus przysiągł dosłownie powtórzyć to Wasylce.

Nazajutrz toczyły się również krwawe pojedynki, ale wśród nich brakło wyzwanego Wasylka.

Dopiero na trzeci dzień wśród dużej kupy Rusów zjawił się, cały w zbroi na siwym koniu z odkrytą przyłbicą a z długą kopją w rękę, uzbrojony w miecz i topór i począł uderzać na polskich rycerzy.

Widać było, iż jestto wojownik o olbrzymiej sile i doświadczeniu.

Mścibój, który właśnie zwałił z konia jakiegoś Rusa, zoczył go nagle.

Na widok śmiertelnego wroga i sprawcy tylu krzywd, wściekłość go ogarnęła, zgrzytnął zębami i zatoczywszy koniem, pomknął ku niemu z kopją w rękę.

Wasyliko nie cofnął się, ale dufny w swą siłę ruszył naprzeciwko.

Szeregi walczących usunęły się na bok.

Król z orszakiem począł pilnie przypatrywać się mówiąc: Mścibój mężny jest, byle tylko nie zapamiętał się.

Obaj rycerze uderzyli na siebie kopjami z taką siłą, aż konie przysiadły na zadach a pancerze na piersiach głuchy dźwięk wydały.

Zatoczyli więc jeszcze raz końmi i znów uderzyli z jeszcze większym impetem.

Żadnemu nie udało się przeciwnika z siodła wysadzić.

Skruszyli tylko kopje a odrzuciwszy je precz, dobyli długich obosiecznych mieczów.

Teraz walka rozpoczęła się jeszcze gorętsza.

Gdy tylko konie zetknęły się bokami, zamigotały w słońcu wiosennem ciężkie koncerze, które jak błyskawice poczęły z furgotem i świstem krzyżować się i spadać jeden na drugi, od czasu do czasu głucho dudniąc po szyszakach i pancerzach.

Otoczeni wichrem mieczów zapamiętali się i bili ze straszną siłą dopóki ich konie nie rozdzieliły.

Obaj młodzi, silni jak tury i zaciekli, toczyli

ten bój śmiertelny na oczach króla, całego wojska, obleżonych i towarzyszy obok stojących w milczeniu.

Na widok bowiem tego pojedynku wszyscy inni przerwali walkę, patrząc z zaciekawieniem i trwogą.

Dla znawców rzemiosła wojennego było widocznem, że Mścibój góruje nad przeciwnikiem większą wprawą i doświadczeniem.

Zatoczywszy końmi małe półkole znów starli się ze sobą z taką siłą aż skry posypały się z mieczów a koncerz Wasylki pękł pod uderzeniem Mściboja na dwoje.

Struchleli Rusowie, pewni że już nadszedł kres życia ich druha, że teraz Mścibój zabije go mieczem. Ale się omylili, bo polski rycerz nie walczy z bezbronnym. Widząc swego wroga z ułamkiem żelaza w prawicy spuścił wzniesiony już koncerz do ciosu, schował go do pochwy i szybko pochwycił za topór wiszący u siodła. Na ten widok rozszedł się pochwalny szmer tak wśród Rusów jak i Polaków a Wasylko oprzytomniawszy ujął za przykładem Mściboja topór i znów uderzyli na siebie.

Zdumieli się wszyscy, bo na topory zwykle pieszo walczone.

Ostrza zetknęły się, wydając metaliczny dźwięk.

Już po kilku złożeniach widać było, że Mścibój to mistrz nad mistrze; wzniesiona jego prawica zataczała to małe kółka, to chwytiała niedbale cięcia a tylko od czasu do czasu spadał topór z głuchym chrzęstem na pancerz, ale tak lekko, jakby w prawicy siły nie było.



Wasyłko tymczasem miotał się, pełen wściekłości a toporem walił w próżnię z całą siłą jak cepem.

Nic dziwnego, że wkrótce zmachał się a prawica mdleć poczyniała.

Widząc swoje wycieńczenie chrapał i śmiertelnym potem oblewał się na myśl, że wkrótce ulec musi.

Mścibój w tem końcowem zmaganiu się oszczędzał swoje siły i jeszcze zwlekał z zadaniem ostatecznego ciosu przeciwnikowi.

Nagle stanął w strzemionach, pochylił się wstecz, wywinął w powietrzu młyńca toporem i całą siłą uderzył nim w Wasyłkę krzyknawszy: to za moją niewiastę i dziatki.

Stało się to tak szybko, że obecni nie mogli uchwycić tego cięcia, czy rzutu. Ujrzeni tylko jak ostrze topora przeciąwszy stalowe łuski i rzemieńne podpinki ugrzęzło w miejscu gdzie szyja styka się z ramieniem.

Krew bluznęła strugą ze strasznej rany, topór wypadł z mdlejącej prawicy bojara, który jak dąb zwalił się na wznak z konia na rodzącą ziemię, rżąc i kopiąc nogami.

Mścibój zeskoczył z konia, postawił nogę na piersiach pokonanego na znak, iż odniósł zwycięstwo i wsparty na mieczu czekał na dalszych wrogów dysząc ciężko i wodząc wokół triumfującym wzrokiem.

Znieruchomieli wszyscy i na chwilę grobowe zapanowało milczenie, jakby dla uczczenia majestatu śmierci; dopiero później podniósł się krzyk straszny ze strony Rusów, którzy pieszo i

konno z mieczami i toporami kupą uderzyli zwycięzcę, chcąc odbić trupa.

Dzielny Mścibój, wskoczywszy na konia, zasłonił się mieczem i począł się bronić zaciekle.

Cięcia jego dwoiły się i troiły, zadawając straszne ciosy. Kto zbliżył się na odległość miecza marł lub z ran wił się w boleściach.

Na pomoc pospieszyli mu najbliżej stojący polscy rycerze, którzy razem z nim brali udział w krwawych harcach i około trupa wywiązała się zaciekle walka.

Nie trwała jednak długo, bo wkrótce Rusowie, salwując swe żywoty, w nieładzie i popłochu pod naporem w żelazo okutych mężów tył podali.

Jak rozjuszony tury prowadzące stado, gdy na swej drodze napotkają woły pędzone na rzeź, uderzają na nie z wściekłością, bodą je i roznoszą na rogach, wyrzucając z rozprutemi brzuchami w powietrze a potem, tratują, — tak polscy jeźdźcy z Mścibojem uderzyli na Rusów, pobodili ich włóczniami, wysiekli mieczami, roztratowali, rozprószyli i roznieśli na kopytach końskich.

Po tych krwawych harcach i utarczce przyniesiono Mścibojowi do obozu zdartą z trupa Wasylki zbroję jako jego łup wojenny, winszując mu zwycięstwa i pocieszając go.

Ponieważ wokoło poczęły się pojawiać liczne oddziały Rusów „rozkazał król swoim wojownikom czynić wycieczki to w tę to w ową stronę na obszary nieprzyjacielskie, zalecając aby jak najdalej od obozu zapędzali się i przeciwnika niespodzianą trapili napaścią“.<sup>1)</sup>

„Tym sposobem Rusowie w ciągłej utrzymy-

wani trwodze rozpierzchali się po lasach, bagniskach i różnych miejscach niedostępnych i już prawie nie śmieli wysunąć się z poza warowni i okopów dla zaczepienia polskich stanowisk<sup>2)</sup>

„Przejęto prócz tego i sprowadzono do królewskiego obozu wielką ilość bydła, zboża i innych zasobów przezco w wojsku królewskim była obfitość wszelakiej żywności<sup>3)</sup>

„Odtąd przez dni kilkanaście bez żadnego stanowczego wyniku zwodzili oblężeni z oblegającymi lekkie utarczki<sup>4)</sup>

W tych jednak „lekkich“ potyczkach krew się obficie lała i padał gęsto trup.

Wojownicy królewscy pod wodzą doświadczonych rycerzy szli na ochotnika z wielkim animuszem na te wycieczki, używając sobie do syta w krwawych zapasach, najwięcej jednak używał Mścibój.

Oprócz żądzy wojny gnała go bowiem żałość i tęsknota za uprowadzoną małżonką. Aby zdobyć jakie wieści o jej losie czatował często nocą koło wałów i chwycił jeńców, ale napróżno.

Po zwycięstwie odniesionem nad Wasylką w krwawym pojedynku na topory, imię jego powtarzali Rusowie z lękiem i grozą, unikając go jak zarazy. Natomiast on ich szukał i przesładował zawzięcie, rzucając się częstokroć z małą siłą na kilkakroć większe zastępy i zawsze w puch rozbijał nie żywiąc nikogo.

<sup>1) 2) 3)</sup> Jana Długosza kanonika krak. Dziejów Polski ksiąg dwanaście. Przekład Karola Mecherzyńskiego,

<sup>4)</sup> „Levia deinde proelia sine ullo satis certo eventu per dies plures inter obsidentes et obsessos commissa”. Historia Polonica Joannis Długossi.

Razem z innymi oczyścił wokół całą okolicę ze zbrojnych band i czekał niecierpliwie oblężenia lub walnej bitwy.

Rusowie jednak siedzieli spokojnie za wałami i dębowymi basztami, bojąc się wychylić z poza nich, aż wreszcie jednego dnia, korzystając ze sposobnej chwili, wypadli w mnogiej liczbie i zapędzili się aż do królewskiego obozu, gdzie „omal nie przyszło do walnej bitwy“.

Pod nagłym i niespodziewanym natarciem Rusów, wśród zapadających ciemności nocnych, padły pierwsze oddziały polskich wojowników, przeważnie nieuzbrojonych, a pozostających w namiotach lub wedle nich i już począł w obozie królewskim szerzyć się niepokój a nawet popłoch, gdy nagle nadjechał z całym swym orszakiem król Bolko, wracający z oględzin wież oblężniczych, budowanych z pospiechem na tyłach obozu.

Obok niego jechali rycerz Wszebor, w sprawach wojskowych doświadczony, najstarszy wódz (princeps militiae) i znany ze swej siły Mścibój.

Król widząc co się dzieje, rzucił się w swej pozłocistej zbroi z odkrytą przyłbicą, a z mieczem w dłoni, bez wahania na wrogów.

Jeszcze przed chwilą uśmiechnięty, i żartobliwy, teraz groźnie zmarszczył brwi, dumne usta zaciął i niebaczny na niebezpieczeństwo, na czele swej drużyny z wściekłością uderzył.

Miecz jego niby błyskawica począł spadać na karki wrogów i rozbijać ich żelazne hełmy, jak gliniane garnki.

Jak orzeł, gdy spadnie nagle z chmur na stadko dropiów i pocznie je rozrywać szponami a one wyciągnawszy dziób napróżno starają się

stawić mu opór — tak król spadł na Rusów, obalał ich, gniół, zabijał i parł przed sobą na czele rycerstwa straszny, potężny, niezwyciężony.

Wszebor i Mścibój pilnowali boków pańskich i szli obok jak zranione tury, torując mieczami drogę drużynie, a zarazem bacząc pilnie, aby król w walce nie poniósł szwanku.

Choć bowiem król był znamienitym rycerzem o olbrzymiej sile i doświadczeniu, przecież wśród wiru bitewnego zapamiętywał się i nie zważał na żadne niebezpieczeństwa. Wojna była jego żywiołem i jak ryba bez wody, tak On bez wojny nie mógł żyć a do bitwy szedł jak do tańca lub jak na schadzki miłosne, zawsze płochy i śmiały.

Za tą straszną trójką postępowała okuta w żelazne zbroice królewska drużyna rycerzy, mieczami i toporami wypierając wroga.

Wkrótce pod naporem tej żelaznej falangi pękły szeregi Rusów i w ucieczce szukały ocalenia, a „Polacy wsiadłszy im niemal na karki niemalą liczbę pojмали w niewolę, albo broń rzucić zmusili“.<sup>1)</sup>

Król rozbiwszy wraże szeregi wycofał się z pogoni i przyprowadziwszy obóz do porządku „nie dopuścił już nieprzyjaciołom czynienia więcej wycieczek, a podsunąwszy obozy swoje bliżej miasta postanowił zamknąć je z trzech stron, z czwartej bowiem broniła go twierdza“.<sup>2)</sup>

Rozpoczęło się oblężenie.

<sup>1) 2)</sup> Historia polska Długosza.

## Rozdział VI.

Wąską leśną drożyną wyrabaną wśród puszczy a wiodącą z Przemyśla do Węgier posuwała się powoli, noga za nogą, karawana kupiecka, złożona z kilkudziesięciu dużych wozów.

Pochód otwierał wóz z uzbrojonymi w łuki i oszczepy ludźmi, za tymi wozy pełne różnych towarów, w środku zaś karawany siedziały na wozie cztery niewiasty obok siebie, o obliczach osłoniętych białymi muślinowymi zasłonami, z których błyszczały ciekawe oczy i rozchodził się wesoły, niefrasobliwy śmiech.

W końcowym łańcuchu wozów, jadących jeden za drugim z powodu wąskości drogi usadowiło się parami sześciu kupców, po dwóch na każdym wozie a w tyle za nimi zbrojni pacholki, którzy w ostatnich zamykali cały ten pochód.

Była to karawana kupców greckich z Bizancjum, ze znanym kupcem Kostopulosem na czele, do których dla bezpieczeństwa przyłączyło się dwóch kupców żydowskich z Zachodu, Daniel i Ezechiel.

Wśród czterech jadących w pośrodku niewiast znajdowała się także Zbigniewa jako niewolnica kupca Kostopulosa zwana teraz w niewolnym stanie „Zbegną“.

Spokojna, uległa i milcząca wszystko dawała robić ze sobą, tak, że aż jej pan był zdziwiony tą biernością i uległością.

Byłem przygotowany — mówił do swych towarzyszy — że tę dziką Zbegnę trzeba będzie poskramiać pułką i wiązać postronkami a tym-

czasem ona jak baranek łagodna i potulna, że choćby dziś można ją sprzedać dobrze.

Ani się słowem nie sprzeciwiła, gdy jej powiedziałem, że jako niewolnica odtąd nazywa się Zbegna, ani gdy jej kazałem zasłaniać oblicze i siadać na wóz w drogę.

Uczyliła wszystko bez słowa protestu, jakby już dawno była wychowaną w niewoli.

Trochę, co prawda miałem z nią kłopotu w chwili kupna, gdy mi zemdląła i nieprzytomna leżała na podłodze. Dopiero, gdy nasz rodak medyk puścił jej krew, przyszła do siebie, uspokoiła się i jest dziś przykładną niewolnicą. Dlatego obiecałem jej, że w nagrodę sprzedam ją w dobre ręce, bo na to zasługuje.

Tak to chwalił swą niewolnicę poczciwy Kostopulos, nie wiedząc o tem, że ona przeszła i przechodzi straszną tragedję, że się jej energja załamała, moc osłabła, a ta dusza wolna, rycerska i niezmożona dotąd, jakby z ciała uleciała, pozostawiając je w odrętwieniu, bezwładzie i bierności, jako posłuszne narzędzie w ręku handlarzy. To chwilowe odrętwienie ciała po tak strasznych przejściach było dla niej prawdziwą ulgą i takim dobrodziejstwem, jak dla operowanego znieczulenie.

Karawana posuwała się wśród radośnie wiosną szumiącej puszczy i chóru skrzydlatych spiewaków leśnych.

Bór odwieczny tętnił życiem, rozgwarem i potężną pieśnią miłości i młodości.

Obok przemykały stadka płochliwych, szybko-konogich saren ściganych przez jelenie, za maciorami z rechotem pędziły o krwawych ślepiach

odyńce, na polanie bodły się zaciekle potężne tury-samce o skubiące spokojnie trawę jałowice.

Nawet gałązki drzew pochylając się cicho, radośnie szeleściły.

Ta radość ogólna udzielała się także ludziom jadącym przez puszcę.

Najpierw zaczęły śpiewać niewiasty a za nimi pachółkowie.

Zbigniewa jeno nie brała udziału w tym chórze, siedząc smutna i nieruchoma, jakby nieczuła na wszystko. Ale widocznie, że i na nią śpiew podział, bo nagle poczęła się rozglądać i przysłuchiwać.

— Gdzie my jesteśmy? Dokąd jedziemy? — wyszeptła do rozśpiewanych i wesołych towarzyszek.

— Patrzcie się i Zbegna obudziła się i przemówiła! — wykrzyknęła obok niej siedząca niewolnica. Jużemy myślały żeś zaniemówiła, albo że gardzisz nami.

Toć w puszczy jesteśmy już drugi dzień i jedziemy do Węgier z naszym kupcem, ale powiadają, że daleka to droga, bo do granicy za trzy niedziele ledwie się dowleczymy a do stolicy to może za cztery.

Zbegna uchyliła zasłony i jeszcze raz przytomnie zaczęła się rozglądać, potem potarła ręką czoło, jakby sobie chciała coś przypomnieć i nagle łyż jak groch poczęły się jej po policzkach toczyć.

Zawstydzona ściągnęła z powrotem na twarz przejrystą zasłonę i wśród wesołego śpie-



wu swych towarzyszek niedoli zaczęła po cichu jak małe dziecię płakać...

Przypomniała sobie swój spokojny gródek, nieobecność małżonka, dwoje małych ukochanych chłopiąt i ostatnią straszną noc i walkę, kiedyto raniona, została przez zbójów porwana i przewieziona do Przemyśla, gdzie ją Wasylko prześladował swą grzeszną miłością, a następnie z zemsty za odmowę sprzedał kupcowi greckiemu jako niewolnicę.

Co się później z nią działo, o tem nie wie, i jeno jakieś mgliste snują się w jej głowie obrazy, jakby z jakiego strasznego i niespokojnego snu.

Dopiero teraz obudziła się jej dusza z marwoty.

Zapłakane oczy wzniosła ku niebu a z ust popłynęła szeptem do Stwórcy błagalna modlitwa: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech — modliła się — święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Boże ojców moich racz mię wybawić z obierzy i tego domu niewoli!

Chryste zmiłuj się nademną nieszczęsną!

Wzmocniona modlitwą bacznie teraz zaczęła się wszystkiemu przyglądać, liczyła ilość wozów, uzbrojonych pachołków i kupców za nią jadących i układała w głowie jakiś plan.

Swym bystrym umysłem poznała, iż wszelki opór byłby nadaremny, że gwałtem i sprzeciwem nic nie poradzi lecz tylko pogorszy swe położenie i obudzi czujność; tu trzeba działać ostrożnie, wywieść się o wszystkim dokładnie, zwłaszcza o wojskach królewskich idących na Przemyśl, pozornie po-

godzić się z losem, wzbudzić zaufanie, osłabić dozór i czujność, rozjaśnić oblicze a potem przy pierwszej sposobności uciekać w puszcze.

Wprawdzie straszna to puszcza, pełna dzikiego i krwiożerczego zwierza, ale lepsza od tej hańbiącej niewoli i od tych handlarzy.

Mścibój mię nie opuści — myślała — ale gdy tylko się dowie, pospieszy na ratunek i wyrwie mię z tej toni.

Trzeba mu to wedle sił ułatwić.

Przed dwoma laty, gdy miał iść z królem na wyprawę kijowską umówili się między sobą, iż znakiem porozumienia między nimi będzie koluszko metalowe czy drewniane.

Gdy takie koluszko posłaniec wręczy, będzie można temu co opowie wierzyć i na tem polegać. Oboje bowiem nie znali wówczas trudnej sztuki pisania i czytania, więc tylko w ten sposób tajemny mogli się porozumieć.

Gdy więc Mścibój szukając jej — tak kombinowała — znajdzie na drodze takie koluszka, pójdzie za tym śladem.

Trzeba więc z gałązek robić je i rozrzucać.

Gdy tak rozmyślała, towarzyszki jej na cały głos niefrasobliwie śpiewały:

Jedzie rycerz zbrojny hej! hej!

Odruchowo Zbigniewa powtórzyła hej! hej! i odezwała się z wymówką: Ot dałybyście sobie już spokój z temi piosenkami, lepiej pomówić i opowiadać a choćby wić wianki z gałązek.

To mówiąc zerwała małą gałązkę nad głowami wiszącą i uczyniła z niej kółko, które po związaniu odrzuciła precz jako nieforemne.

Za jej przykładem poczęły towarzyszki zrywać gałązki i robić z nich mniejsze i większe koluszka, nakładać sobie ze śmiechem nawzajem jak wianki na głowę a potem rzucać na drogę.

Wkrótce przy robieniu tych kółek ożywiła się rozmowa, zwłaszcza, że gadatliwe dziewczęta bez przerwy pytowały.

— Jak wy się nazywacie? zagadnęła Zbigniewa,

— Teraz mię wołają — mówiła jedna — „Zoną“, druga mię „Pollą“, a trzecia mię „Aretą“. Przedtem inaczej się nazywałyśmy.

— Kto was sprzedał? Dlaczego? Jak dawno?

— Rodzice nas sprzedali niedawno, bo w domu bieda jak zwykle u osadników niewolnych. Mówił kupiec rodzicom, że nas szkoda w tych borach trzymać, bo możemy być bogatemi i on nas wywiezie do wielkiego miasta, gdzie bogaci panowie i księżęta nas kupią i żonami swemi uczynią.

Poszłyśmy więc chętnie z tym kupcem, bo to dobry pan i niczego nam nie żałuje, ot teraz ubrał nas w piękne szaty, żywi dobrze i zasypuje różnemi bakaljami. Jemy figi, daktyle, suszone winogrona nawet słodkie wino spijamy, więc nie dzieje się nam krzywda. Prawda, że musimy teraz twarz zasłaniać i inaczej się nazywamy, ale trudno jak jesteśmy niewolnicami i taki jest zwyczaj.

— A ciebie kto sprzedał? — pytały nawzajem Zbigniewy.

— Mnie jeden zbój. Ja mam męża — rycerza i dwoje dzieci. Mąż poszedł na wojnę a z dziećmi nie wiem, co się dzieje,

Nie trap się Zbegna — pocieszały ją — tu ci źle nie będzie, bo pan cię lubi i słyszałyśmy

jak cię chwalił i dawał nam za przykład, gdyśmy zanadto figlowały i śmiały się.

— Nie słyszałyście co o wojskach królewskich?

— Mówili kupcy przed wyjazdem, że król Bolko lada dzień podstąpi pod Przemyśl i pocznie go oblegać, dlatego przedtem wyjechali i spieszyli się bardzo.

— Czy w tej puszczy niema gdzie ludzkich osiedli?

— Nie wiemy, może tam gdzie są ale to straszna puszcza pełna dzikiego zwierza. Wczoraj nasz pan straszył nas, że jak będziemy tak psocić, to nas zostawi w puszczy..

Zbegna westchnęła i zamilkła.

Karawana wlokła się leniwo noga za nogą wśród wybojów, pniaków i wystających korzeni drzew, tak iż ledwo dwie mile mogła na dzień przebyć.

Już słońce poczęło się chylić ku zachodowi, gdy dostała się na małą polankę.

Kostopulos jako naczelnik całej karawany nakazał postój.

Stały wozy, konie wyprężono i wszyscy z kupcami i niewolnicami wysiedli, przechadzając się z lubą chęcią po całodziennej trzęsącej i nużącej jeździe.

Wokół rozpalono duże ogniska, przy których warzono strawę i pieczono na ogniu całe uda upolowanych zwierząt.

Chociaż do nocy było daleko, w puszczy zmrok począł szybko zapadać.

Dla kupców i niewolnic rozestali pachołkowie skóry niedźwiedzie i przynieśli najlepsze części

pieczeni. Kostopulos wyjął z wozu skórzany wór z winem greckiem i kubki i wszystkich częstował, dodając niewolnicom wiele różnych słodczy; służba jadła osobno zdała.

Po wieczery wyznaczeni pachołkowie, zbrojni w oszczepy i łuki, objęli straż nocną nad całym obozem i podsykali płonące ogniska dla odstraszenia dzikiego zwierza.

Noc szybko pokryła ziemię ciemnościami, na niebo wyplłynął blady księżyc, rzucając dziwne cienie drzew na polanę.

W pobliżu odezwały się przejmujące do głębi ryki dzikiego zwierza zwabionego ogniem.

Niewolnice mimowoli zadrżały i przytuliły się do siebie rozmarzone winem.

Nagle do dziewcząt zbliżył się ich pan i właściciel, Kostopulos i pozdrowiwszy uprzejmie pytał, czy czego nie potrzebują i czy się bardzo boją w nocy, dodając, że w puszczy nawet najodważniejszego lęk ogarnia.

— A ty, Zbegna, jak się czujesz obecnie? — zagadnął nagle Zbigniewę.

— Czy nie jesteś jeszcze słaba? Czy ci czego nie brak, bo widzę, żeś ciągle smutna i zadumana — to mówiąc odchylił delikatnie zasłonę z jej oblicza, wpatrując się w nie z wielką uwagą badawczym wzrokiem.

Ta wielka troskliwość starego kupca wielce ją zdziwiła, ale o wiele więcej zdziwiło a nawet obruszyło, to obcesowe miano „ty“, które po raz pierwszy usłyszała, a do którego jeszcze nie miała czasu się przyzwyczać jako niewolnica.

Wahała się, czy odpowiedzieć, że czuje się w niewoli nieszczęśliwą, czy też w myśl powziętego swego planu udać zadowolenie.

Po krótkim namyśle wybrała drogę pośrednią i odpowiedziała w te słowa: Dzisiaj już się lepiej czuję i zdrowszą jestem, tylko jeszcze do swego stanu niewolnego przyzwyczać się nie mogę. Dzięki twej łaskawości, szlachetny panie, niczego mi nie brak, krom chyba.. wolności!

Uśmiechnął się dobroduszenie kupiec na te słowa mówiąc: Dzięki Bogu, że zdrowie odzyskałaś i lepiej ci jest, da Bóg, że niedługo przyzwyczaisz się, będziesz zadowolona a nawet szczęśliwa i zapomnisz o braku wolności, jak wiele podobnych przed tobą.

O tem jeszcze niedługo szerzej pomówimy przy sposobności.

— Ale dlaczego — pytała ujęta dobrocią kupca — każesz nam panie oblicza zasłaniać i dałeś nowe imiona?

— Bo taki jest zwyczaj na Wschodzie, iż niewolnice przed obcymi twarze zasłaniają, a tylko przed swoim panem ukazują się bez zasłon. Nawet tu w puszczy kazałem wam nosić zasłony, aby ochronić was przed pożądliwemi spojrzzeniami pachółków i pomału przyzwyczać do zasłon.

Nowe imiona dałem wam dlatego, bo wasze słowiańskie obcemu trudno spamiętać i wymówić a nadto również zwyczaj nakazuje, aby niewolnica inaczej się nazywała, aniżeli przedtem i to z wielu powodów.

— Teraz już rozumiemy! — wszystkie mówiły i pytały dalej, kiedy z puszczy wyjadą, jak wielka

ona, kiedy dostaną się na Węgry, co to za kraj, jak daleko do tej stolicy węgierskiej i t. d.?

Kupiec słuchał z wielką cierpliwością i na wszystkie pytania odpowiadał chętnie.

Takich puszczy, jak w Polsce, to niema nigdzie na świecie — wyjaśniał — cała Polska to jedna wielka puszcza, w której rozsiane są warowne grody i gródki, wioski jednodworcze i wielodworcze dość liczne a nadto tu i ówdzie różne osady z niewielkimi obszarami pól; jedynie za zachodnich granicach koło Gniezna, Krakowa a nawet Płocka i indziej puszcze są znacznie wytrzebione i zamienione na orne pola.

Od Przemyśla do Węgier jedna to jeszcze szczerza puszcza bez gościńców i dróg jeno z wąskimi ścieżkami i drożynami leśnymi, dobrymi dla dzikich turów i żubrów, ale nie dla ludzi.

Jeśli nie połamiemy wozów i nie doznamy żadnych przygód, to w najlepszym razie za trzy lub cztery niedziele dobijemy się do Węgier, gdzie czeka nas druga puszcza, choć mniejsza.

Przeprawa w górach będzie najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza, bo tam nie tylko dziki zwierz zagraża, ale i zbóje a do tego drogi są jeszcze gorsze. Jak rachuję to do stolicy Węgier za pięć niedziel powinniśmy się dostać od dziś dnia.

Bogatszy to może kraj od Polski, bo ma więcej ornego pola, przetrzebionych lasów i wielkich stepów, na których wypasają tysiące sztuk bydła, również stolica Węgier, Buda, wspanialsza od stolicy Polski, Gniezna a nawet Krakowa, dokąd wasz król, Bolko, się przeniósł.

Niewiasty słuchały z wielką uwagą a nawet z otwartymi — jak mówią — ustami, pochłaniając

każde słowo kupca. Najwięcej jednak zajęcia okazywała Zbegna, która tak wrodzoną inteligencją, jak swoim urodzeniem i umysłem wybijała się ponad proste i nieokrzeseane towarzyszeki.

— Czy to prawda, że król Bolko podstąpił pod Przemyśl? — zapytała nagle, drżąc cała.

— Nie wiem, gdzie obecnie król Bolko, ale słyszałem, że ma podstąpić a nawet oblegać go, jeśli Rusowie dobrowolnie mu nie oddadzą. Sądzę, że jeszcze król nie zdażył pod Przemyśl.

— Ciekawa jestem — pytała dalej Zbegna — czy są w tej puszczy, przez którą jedziemy jakie osady i ludzkie osiedla?

— Pewnie, że są ale niewiele ich, bo dopiero trzebią bory, więcej natomiast jest w niej myśliwców, którzy w głębi puszczy mieszkają, i tam swe osiedla nad rzekami mają, myśliwstwem się zajmując a czasem chowem bydła. Na pół dzicy to jednak ludzie i w pogaństwie jeszcze żyjący.

— Jak długo się w tej stolicy węgierskiej zatrzymamy i dokąd z niej wyjedziemy?

— Zdaje się, że w Budzie zabawimy dłużej, może nawet kilka tygodni zanim sprzedamy nasze towary a zwłaszcza drogie skóry na futra zakupione w Polsce i na Rusi. Po załatwieniu naszych interesów ruszymy na Białogród a stamtąd dopiero do Carogrodu, gdzie staniemy ledwie za kilka miesięcy.

— A czy my także pojedziemy do Carogrodu, czy w Budzie zostaniemy? — indagowała dalej.

— Ho, ho, jakaś ty Zbegno ciekawa! — zdziwił się kupiec i wykrętnie odpowiedział: Chciałabyś wiedzieć z góry o tem, o czem ja



— sam dobrze nie wiem. To ci tylko mogę powiedzieć, że w Budzie pozbywamy się pośledniejszego towaru, a lepszy, ładniejszy wywozimy do Carogrodu, gdzie są nań bogatsi nabywcy, którzy lepiej zapłacą.

— Myślę, że wy wszystkie pojedziecie do.. Carogrodu.

— Co to za miasto ten Carogród?

— Bizancjum albo Konstantynopol zwany przez Słowian Carogrodem — opowiadał dalej kupiec — to obok Rzymu największe miasto na świecie, to wspaniała stolica potężnego cesarstwa greckiego pełna kościołów, pałaców i niezmiernych bogactw, gdzie panuje wszechwładnie cesarz, któremu podlegają książęta, opływający we wszelkie dostatki i niewyczerpane skarby.

To miasto, w którym więcej ludzi aniżeli drzew w puszczy, gdzie mówią wszystkimi językami, gdzie obok Greków spotkać można Germanów, Ormian, Saracenów, Rusów, Lechitów a nawet Żydowinów i Pieczyngów. Z całego świata ciągną tu ludy, spływają bogactwa i towary.

Niemasz w tej stolicy ani ostrości zimy, ani upalnego żaru południa, lecz wieczna wiosna panuje.

Do niej przyplływają liczne okręty z dalekich krajów, zwożąc wszystko, czego dusza zapagnie.

Zamiast głuchych puszcz otaczają ją kwitnące gaje i obmywają sine fale morza, na których przy blasku księżyca kołyszą się gondole pełne cudnych niewiast, młodych rycerzy i książąt i rozchodzi się wokół iście anielski śpiew przy dźwiękach lutni.

Do tej rozkosznej stolicy chcę was zawieźć i uczynić szczęśliwymi...

Milczały niewolnice, jakby oczarowane słowami kupca.

Dopiero po chwili pierwsza odezwała się Zbegna.

— Wielce to ciekawe dla nas rzeczy — mówiła w imieniu towarzyszek — o którychbyśmy do rana słuchały i wdzięczne jesteśmy za naszemu panu.

— Dużo wam jeszcze ciekawszych opowiem, ale teraz czas na spoczynek, bo świtaniem ruszamy w drogę. Jak widzę, to Zbegna z was wszystkich najwięcej się tem interesuje i najwięcej się rozumie a ponieważ jest najstarsza, to od dziś dnia zostanie waszą przewodniczką i niejako zwierzchniczką nad wami, której macie słuchać i wszelkie prośby na jej ręce mnie podawać.

Ty zaś Zbegna odpowiadasz mi nie tylko za siebie, ale i za swe towarzyszki, gdyby n. p. która z nich uciekła... w puszcę — zakończył żartobliwie.

— Niema o to obawy! — wykrzyknęły z przekonaniem.

— A cóż to nam tu źle, żebyśmy uciekały w dziką puszcę? — zaprotestowały chórem.

Zbegna tylko milczała, poruszona i wielce zmieszana.

Kupiec odszedł, życząc swym niewolnicom dobrej nocy i nakazując pachołkom rozbić dla nich namiot ze skór.

Długo w noc niewolnice, leżąc na miękkich skórach niedźwiedzich o rozkosznej stolicy gwarzyły, dopóki sen nie skleił ich powiek.

Zbegna tylko czuwała i obliczała, kiedy król może podstąpić pod Przemyśl a kiedy Mścibój pospieszyć jej na ratunek.

## ROZDZIAŁ VII.

O dzień drogi od karawany szła przed nią partja niewolników lechickich i ruskich w liczbie około stu ludzi zakupionych przez kupca żydowskiego Ezechiela u kniazia w Przemyślu tuż przed oblężeniem zamku.

Przezorny kniaz przed nadejściem wojsk królewskich wolał raczej sprzedać jeńców za bezcen żydowinowi, aniżeli ich trzymać w lochach i żywić a później może wydać w ręce królewskie za darmo.

Sprzedał ich więc hurtem głowa za głowę po trzy solidy, otrzymawszy za nich około trzysta sztuk złota.

Szli teraz ci jeńcy jako niewolnicy i własność Ezechiela w dziesięciu grupach parami powiązani w ten sposób, że prawa ręka jednego związana była z lewą drugiego towarzysza niedoli; pięć par stanowiło jedną grupę zostającą pod nadzorem dwóch strażników uzbrojonych w łuki i oszczepy.

Byli wśród nich młodziankowie w kwiecie wieku, mężowie a nawet starcy siwizną okryci.

Wypuszczeni z ciemnych lochów, szli przez puszcę oddechając pełną piersią i rozglądając się ciekawie.

Dokąd szli, nie wiedzieli, ale wiedział za to ich właściciel, wiodąc ich na Budę do Bizancjum.

gdzie spodziewał się z dobrym zyskiem sprzedać, choćby tylko po 10—20 solidów „za sztukę“.

Po ciemnych, wilgotnych lochach wędrówka w puszczy wśród wiosny wydawała się im jakby polepszeniem losu, tembardziej, że im żywności nie żałowano.

Wymizerowani i wyniszczeni w zamkowych kazamatach więzieniem i głodem, poczęli dopiero na świeżem powietrzu i przy dobrem odżywianiu przychodzić do sił i zdrowia.

Handlarz nie żałował im żywności, licząc że za dobry towar dostanie więcej.

Powiązani i pilnowani przez zbrojnych pachółków szli posłusznie, dokąd ich wiedziono, ale z każdym dniem, w miarę jak wracały im siły i zdrowie, powstawała w nich coraz większa żądza wolności i swobody.

Wyrwać się z tych więzów i uciekać w puszcze, gdy się tylko zdarzy sposobność — oto gorące pragnienie każdego z nich.

Idąc parami, szeptem między sobą mówili i układali plany ucieczki, ale dzień za dniem schodził a oni dalej maszerowali pod czujnem okiem pachółków i napróżno o wolności marzyli.

W porównaniu z niewolnicami w gorszem byli położeniu, bo gdy o niewiast zewnętrzny wygląd a nawet o dobry humor troszczono się drobiazgowo, o nich dbano tylko, aby byli silni i zdrowi. Nawet nie wiedzieli, że za nimi jada z karawaną niewolnice, ich towarzyszki niedoli, w daleką, nieznaną drogę na Wschód.

Szli w milczeniu pod batem na półdzikich pachółków, najętych przez kupca.

Od czasu do czasu z ich szeregów rozcho-

dzily się smętne pieśni — skargi na swój los i wnet milkły.

Im bliżej granicy, tem te pieśni były smutniejsze i rzewniejsze.

Te proste dusze słowiańskie, żyjące wolnością i swobodą, żegnały może na zawsze swoją ojczynę, która nie mogła, czy nie chciała ich z tej niewoli wyzwolić.

Szli beznadziejni ku swemu przeznaczeniu, jakby przednia straż kupieckiej karawany na zatracenie, nie przeczuwając, iż za nimi podążają ich towarzyszki i jeszcze wieki całe choć w zmienionej formie podążać będą, że puszcza zniknie i dziki zwierz wyginie a handel niewolnicami nie ustanie...

\* \* \*

O świcie ruszyła karawana ze swą strażą przednią w dalszą drogę.

Z trudem przebywano urwiste potoki i rozlane rzeki i wdzierano się wprost siłą w głębie tych odwiecznych borów, nietkniętych ludzką ręką.

Często wozy zapadały z końmi w trzęsawiska skąd je drogami wydobywano, często musiano zsiadać z wozów i iść pieszo obok po suchej ścieżynie, od czasu do czasu łamały się koła, tak że cały wóz musiano zostawić a towary i ludzi przenosić na inne i robić krótkie postoje.

Z takich przymusowych postojów jedynie zadowolone były niewolnice, bo biegaly obok zrywając kwiaty lub goniąc się nawzajem i wijąc kółka razem ze Zbeganą, która instyktownie liczyła na ratunek ze strony męża i o pozostawieniu śladów za sobą nie zapominała.

— Hej ostrożnie! — napominał kupiec, — abys-

cie nie zabłądziły, albo nie natrafiły na dzikiego zwierza!

Po kilku dniach drogi zdarzyło się, że stado turów — samców, goniąc jałowice, wpadło na karawanę. Uczynił się tumult i zamieszanie, spłoszone konie zerwały postronki i poczęły wozy wywracać, podróżni zeskakiwać i kryć się za drzewa również przerażeni.

Pachołkowie bali się użyć swych łuków i oszczepów na tych królów puszczy, aby ich więcej jeszcze nie rozdrażnić. Ofiarą ich napadu padły dwa konie z wozem, wprost na rogach rozniesione.

Na szczęście nikt z ludzi nie postradał żywota, jedynie kilkoro potłukło się upadając z wozów a między tymi i niewolnice.

Długiego czasu potrzeba było, aby po tym nпадzie do jakiego takiego ładu karawanę przyprowadzić i w dalszą ruszyć drogę.

Pokazało ię, że kilka wozów jest połamanych, i kilka koni poranionych oprócz dwu zabitych.

Kupcy przeklinali i biadałi, że jak tak dalej pójdzie, to będą musieli towary zostawić a sami ze służbą i niewolnicami iść piechotą.

Tego dnia nie ujechano nawet mili.

Wobec połamanych kilku wozów niewolnice rozdzielono i posadzono po jednej na inne, zdadne do jazdy.

Zbегnie kazano siadać na wóz razem z dwoma kupcami żydowskimi, młodym Ezechielem i starym, siwym Danielem, którzy niedawno przybyli do Przemyśla a obecnie razem z greckimi jechali do Węgier.

Ze spuszczoną zasłoną siadła posłusznie naprzeciwko Ezechiela.

Kupcy mówili ze sobą w jakimś obcym, nieznanym jej języku.

Jeden z nich Daniel z siwą brodą miał około lat 70, drugi, Ezechiel, w sile wieku z czarną krótką brodą o regularnych wybitnie semickich rysach i czarnych ognistych oczach, zaledwie trzydzieści.

Gdy usiadła naprzeciw, młody Ezechiel począł się w nią badawczo wpatrywać, jakby chciał wzrokiem przebić tę lekką zasłonę, zakrywającą jej twarz.

Zbegna wstydliwie spuściła głowę i może po raz pierwszy zadowolona była, że twarz ma zasłoniętą.

— To Kostopulos — odezwał się w łamanym języku polsko-czeskim — nakazał wam nosić zasłony?

— Tak jest! — potwierdziła krótko.

— Jaki ten stary Grek ostrożny! — zawołał. — Ale teraz skoro siedzisz z nami, możesz podnieść, boć przecież my także kupcy, nie gorsi odeń. Tak dobrze jak Kostopulos mogłem i ja cię kupić i jak zechcę kupię...!

Zadrżała niewolnica i odrzekła spokojnie:

Nasz pan zakazał przed obcymi twarz odsłaniać.

— My nie obcy! Odłoń zaraz! — rozkazał i dodał: Jak sama nie odślonisz, to ja odślonię!

Przy tych słowach bez skrępulów podniósł ręką jedwabne muśliny wysoko nad czoło i zdumiał się.

Ukazała się twarz niezwyklej piękności z o-

czami pełnemi gniewu i dumy, w które patrzył z zachwytem i wielką namiętnością.

— Teraz się nie dziwię staremu Grekowi, że takie чудо każe zasłaniać przed ludzkiemi oczami, bo jabym to samo uczynił!

To mówiąc począł swemu towarzyszowi coś tłumaczyć i obliczać, być może, ileby na tej niewolnicy można zarobić.

— Jak się nazywasz? — zapytał teraz bardzo uprzejmie.

— Zbegna! — odpowiedziała krótko, oburzona i ściągnęła z powrotem na twarz zasłonę.

W tej chwili odezwało się jakby echo dalekiego stukotu siekier, które w miarę jak się zbliżali stawało się coraz wyraźniejsze a dochodziło z prawej strony. Wreszcie w odległości kilkuset kroków od drogi dało się słyszeć rąbanie, głuchy trzask i łomot padających drzew a nawet przytłumione głosy ludzkie.

Zbegna z chciwością łowiła uchem te odgłosy i gorączkowo kręciła się na siedzeniu.

— Co to słyszać? Co to jest? — pytała kupców.

— To pewnie puszcę trzebią! — odpowiedział Ezechiel.

Chciałabym bardzo to zobaczyć! — zwróciła się doń z uprzejmą prośbą.

Trudno będzie, chyba gdyby był postój a Kostopulos pozwolił, — tłumaczył kupiec.

Jakby na jej życzenie wozy na przedzie jadące stanęły a za nimi wszystkie środkowe i końcowe.

Poczęto wysiadać i pytać o przyczynę. Ezechiel wyskoczył także i jak dworny kawaler pomógł wysiąść pięknej niewolnicy.



Pokazało się, że to jakiś olbrzymi żubr stanął na drodze i zahamował na chwilę ruch.

Po ustąpieniu żubra ruszono dalej i niedługo rozbito obóz, ponieważ wieczór się zbliżał.

Zbegna, mając ułożony plan ucieczki, chciała wyzyskać każdą sposobność do ułatwienia jej.

Pewnie — myślała sobie — tam będzie ludzkie osiedle, może się znajdą litościwi a odważni ludzie, którzy mię zechcą ukryć a może i obronić, gdy do nich po ratunek przybieżę.

Trzeba więc to zbadać, jak również wyzyskać wpływy Ezechiela, któremu niezmiernie się podobała.

Żydowin to wprawdzie, — rozumowała — ale ma na swe zawołanie kilkunastu pachołków i jest właścicielem połowy karawany, wielce ceniony przez samego Kostopulosa, dla obrotności i bogactw.

Przez Ezechiela będzie się można o wielu zamiarach starego Greka dowiedzieć i niejedno zdobyć ułatwienie w ucieczce, bo na co mnie jako swej niewolnicy nie pozwoli, to pozwoli Ezechielowi.

W ciągu tych dni wywiedziała się już dokładnie o wszystkim a zarazem poznała, że uciekać w puszcę samotnej białogłowie, to śmierć niechybna z głodu lub od pazurów dzikiego zwierza.

Ucieczka udaćby się mogła jedynie do jakiegoś ludzkiego osiedla, które da jej schronienie i opiekę.

Jeśli zatem pozna, że ci osadnicy, trzebiący bory, mogliby jej pomóc, to nazajutrz ucieknie do nich i będzie ich błagać o ratunek, jeśli nie, to trzeba czekać dalszej sposobności.

Czas dla niej pracuje.

Im dłużej potrwa podróż do Węgier, tem dla niej lepiej.

Dotąd ujechano z trudem za sześć dni ledwie osiem mil t. j. może jedną trzecią drogi, jest więc do przebycia dwa razy tyle a zatem kilka niedziel czasu.

W tej niewoli ma tyle swobody, że każdego dnia mogłaby łatwo uciec, ale dokąd i do kogo?

Ucieczka jednak to ostateczność i może nastąpić dopiero wtedy, gdy zniknie wszelka nadzieja przybycia Mściboja.

W czasie tych rozmyślań zbliżył się do niej Ezechiel mówiąc: Jutro cały dzień postój, bo sobota i Grecy uczynili dla nas to ustępstwo, więc jutro dopiero po modlitwach t. j. koło południa możemy obejrzeć tych osadników, jak zechcesz.

— Ja zechcę, — odpowiedziała uśmiechając się Zbegna — ale czy mój pan zechce?

— Proś go o to!

— Boję się, że odmówi!

— To ja go poproszę i pójdziemy razem!

— Dzięki ci panie za twoją dobroć i dobrej nocy życzę! — powiedziała z udaną pokorą i szybko oddaliła się do namiotu swych towarzyszek.

— Ta niewolnica słowiańska tak idzie do głowy, jak silne wino! — odezwał się Ezechiel po wieczornych modlitwach do swego towarzysza Daniela.

— Bacz, aby ci się w głowie nie zawróciło, jak po winie!

— Jak zawróci, to i wyszumi, ale to towar, który wart więcej od moich stu niewolników

Szkoda, że się spóźniłem! zawołał z żalem w sercu.

Nazajutrz podszedł do Zbegnny i rzekł: Idę właśnie od Greka.

Pozwoli, ale chce, abys go o to sama poprosiła, i aby z tobą poszły wszystkie niewolnice w towarzystwie kilku uzbrojonych pachołków na moją odpowiedzialność!

Zawsze nieufny i ostrożny jak Grek!

— Dobrze, pójdę!

To mówiąc pobiegła do namiotu kupców greckich.

Po chwili wszystkie cztery niewolnice z Ezechielem i kilku zbrojnych jego pachołków przedzierało się przez puszcę w kierunku, skąd dochodził odgłos siekier.

Na przedzie szli pachołkowie zbrojni w oszczepy i łuki, w środku trzy niewolnice a pochód zamykał Ezechiel ze Zbegną.

Po drodze opowiadał jej kupiec podobnie jak Grek o nieznanym krajach Zachodu, o wspaniałych miastach i grodach, o morzach nieskończonych, a nawet o zamorskich krainach gdzie wieczna wiosna panuje a ludy tam są czarne, jak węgiel.

Zbegna słuchała z zapartym oddechem, jak jakich czarownych bajek i na chwilę zapomniała o swem położeniu, przejściach a nawet niewoli i ze zdziwieniem patrzyła na młodego kupca, podniósłszy zasłonę.

Wychowana w dzikiej, bezbrzeżnej puszczy widziała jedynie gród przemyski, słyszała coś nie coś o Krakowie, Gnieźnie i o stolicy Rusów Ki-

jowie, dokąd jej małżonek z królem Bolkiem podążył.

Teraz ci kupcy, którymi dotąd gardziła, poczęli jej oczy otwierać i w inny świat przenosić pełen jakichś cudów i bajek.

Ujrzała ich wielkie bogactwa w drogich towarach i złocie, poznała ich rozum, wiedzę, znajomość różnych ludów, krain i języków i zaczęła inaczej na nich patrzeć, podziwiać ich a zarazem bać się i niedowierzać.

Czy to wszystko prawda? Czy ci kupcy mię nie tumanią? — mimowoli zadawała sobie pytanie.

Dlatego chcąc się przekonać, poczęła pytać o Carogród, o którym jej tyle Kostopulos opowiadał.

Ezechiel potwierdził i wiele jeszcze dodał, bo tam także był i wszystko na własne oczy widział.

Wśród tego opowiadania nawet nie spostrzegli się, jak przybyli na miejsce.

Olbrzymia połać lasu była wycięta, setki świerków i jodeł leżało siekierą powalonych, około których uwijało się kilkudziesięciu osadników odzianych w grube zgrzebne koszule sięgające do kolan. Wokół płonęły wielkie ogniska, w które rzucano porznięte kłocę, na wolnym miejscu stało zbudowanych kilka szop na mieszkanie.

Byli to osadnicy, którym król podarował taki kawał puszczy, jaki sobie wytrzebią.

Ujrzawszy obcych ludzi zbiegli się i w niskich pokłonach witali przybyszów, sądząc, że są oni z orszaku króla.

Nieokrzesani i . napół jeszcze dzicy ze zdi-

wieniem patrzyli na zasłonięte niewiasty, kupca i zbrojnych pachołków.

Jak opowiadali z wiosną tu przybyli od Zachodu i w pocie czoła trzebią puszcze, żyjąc w niej upolowaną zwierzyną, brak im jeno soli, której znikąd dostać nie mogą. Dlatego wielce się ucieszyli, gdy Ezechiel obiecał im wydać z zapasów karawany trochę tego cennego „kruszu“.

Najwięcej się jednak zainteresowała osadnikami Zbegna.

Odsłoniwszy śmiało oblicze, wszędzie ciekawie zaglądała, o różne rzeczy wypytywała zwłaszcza o drogi wiodące do Przemyśla, tak, że aż kupiec był zły i nie mógł się jej dowołać.

Zbadała jednak i wywiedziała się, czego jej było potrzeba. Przekonała się, że ci na pół dzicy osadnicy, to jednak ludzie spokojni i chrześcijanie, choć obok Chrystusa czczący równocześnie jeszcze Swantewita i różne bóstwa pogańskie.

— Biedni, ale bardzo gościnni — myślała — jak wszyscy Słowianie, więc na tej gościnności można polegać, tak że w razie ucieczki jako swemu gościowi krzywdy nie tylko nie uczynią, lecz także uczynić nie pozwolą, boć przecież gość w dom, to Bóg w dom.

Trzeba zatem jutro dodnia lub pojutrze do nich uciekać!

Po oglądnięciu usiadło całe towarzystwo w cieniu dęba a Ezechiel kazał rozłożyć przyniesione zapasy mięsa i słodyczy, które wszyscy z wielkim apetytem spożywali a w końcu słodkim winem greckiem zapili.

Po tej wspaniałej uczcie pachołkowie poszli w

las użyć spoczynku, dziewczęta na łąkę rwać kwiaty a pod dębem została sama Zbegna z kupcem.

— No i cóż rada jesteś z tej wycieczki? — zapytał kupiec poufale, patrząc w jej odsłonięte i uśmiechnięte oblicze.

— W tej nudnej a dalekiej podróży dobre i to, choć nie ciekawe! — odrzekła z grymasem.

— To prawda, że u was niemasz nic ciekawego, ani godnego uwagi jedynie bory i bory. Dlatego my do Polski przywozimy z dalekich krajów towary a wywozimy jeno skóry i niewolników a od czasu do czasu także piękne niewolnice...

— Jakżeż żałuję, że miasto Greka ja cię nie kupiłem! — wyrzekł z sentymentem patrząc jej w oczy.

— Takie widać było moje przeznaczenie, ale stary Grek, to przecież dobry i szlachetny człowiek! — odparła.

— Nie przeczę, ale jemu więcej idzie o złoto, które dostanie za ciebie, niżli o twoją osobę.

I długo tak siedząc oboje pod dębem prowadzili ożywioną rozmowę, aż dopóki nie pojawili się pachołkowie i niewolnice.

Nad wieczorem wrócili wszyscy wśród wesołych śpiewów do obozu.

Zbegna jeno była milcząca i zadumana.

— Czy ty wiesz Ezechielu, synu Dawida, że dzisiaj Zbegna uratowała nas od wielkiej szkody? — powitał go stary Kostopulos, gdy tylko wrócili.

— Jakto? Dlaczego? — zapytał Ezechiel z niepokojem.

— Oto w czasie, gdyście wszyscy poszli do tej osady, może w godzinę po waszem odejściu,

nadjechali nagle na koniach żołnierze, czy łotrzykowie niewiadomo i poczęli mię pytać z czem, dokąd jedziem i czy jakie niewolnice ze sobą wieziem?

Powiedziałem im, że u nas niema żadnych niewolnic i tylko to, co widzą. Przeszukali i otrzymawszy kilka sztuk złota odjechali, szkody żadnej nam nie wyrządziwszy.

Zdaje się, iż to byli Rusowie wysłani z Przemyśla przez Wasylkę.

— Bogu dzięki! — wyrzekł Ezechiel dodając: Niech o tem niewolnice nie wiedzą, ale na przyszłość trzeba być ostrożnym i ukryć je, bo o przygodę nie trudno.

Już zarządziłem, ale byłem w wielkiej obawie, żebyście w tym czasie nie nadeszli!

— Zbегnie ani innym niewolnicom nie spieszyło się! — zakończył, śmiejąc się Ezechiel.

Wieczorem, gdy wokół obozu zapłonęły ogniska kazał Kostopulos do siebie zawezwać Zbегnę.

Zbегno! — odezwał się do niej łagodnie kupiec — powiedz mi, dlaczego tak długo bawiliście w puszczy, że aż o was byłem niespokojny?

— Bo kupiec Ezechiel opowiadał mi długo o zamorskich krainach, o ludach żółtych, miedzianych a nawet jak węgiel czarnych i o innych ciekawych, jak bajki dziwach, w które trudno uwierzyć.

Uśmiechnął się na to stary Grek dobrodusznie mówiąc: Wszystko to prawdą jest i sama niedługo wiele z tych dziwów zobaczysz na własne oczy.

— O czem jeszcze mówił? — indagował dalej kupiec.

— Mówił, iż żałuje, że mię nie kupił!

— Czy był wobec ciebie uprzejmy?

— Z początku nie bardzo, bo mi nawet ściągnął z oblicza zasłonę ale potem, to z wozu pomagał mi zsiadać, prowadził, abym nie upadła, a nawet troszczył się o mnie i zabawiał opowiadaniem.

— To dobrze ! Bądźże i ty dlań uprzejmą i usługną, bo to mój wspólnik we wielu interesach, przeto nie chciałbym, aby się na twe zachowanie skarżył. Jestem pewny, że choćby cię był kupił, to również jak ja nie uczyniłby ci krzywdy, bo to dobry człowiek, choć czasem porywczy i gwałtowny.

— Dobrze ! Będę dlań uprzejmą wedle twego rozkazu, szlachetny panie.

— Czy to prawda, że ty miałaś przedtem męża i dzieci ?

Pytanie to zaskoczyło ją i obudziło niedawne wspomnienia.

— Tak to prawda, że mam — dodała z naciśkiem — męża i dwoje dzieci. — Mój małżonek wyjechał przed blisko dwoma laty z królem do Kijowa i teraz ma z nim wracać.

W czasie nieobecności męża porwał mię ten zbój Wasylko a dziatki albo zamordował, albo ukrył a wkońcu mię sprzedał tobie, szlachetny panie !

— Wielce to przykre i bolesne było — odparł kupiec — ja to odczuwam, ale na szczęście minęło i nic cię takiego nie spotka więcej, tylko trzeba o tem wszystkim raz na zawsze zapomnieć a pogodzić się z nowym losem dla ciebie lepszym i pamiętać, że jesteś taką niewolnicą, przed którą może wkrótce księżęta będą bić czołem.

— Co to ma znaczyć ? Nie rozumiem tego !

— Nie dziwię się, że nie rozumiesz jeszcze teraz, ale wkrótce zrozumiesz tak, jak przed tobą wiele innych, które kupiłem zrazu nie rozumiało.



Dziękuj Bogu, że cię stary Kostopulos kupił a nie kto inny, boby ci gorzej było.

Ja jestem uczciwym kupcem, który nikogo nie oszukał i nikomu krzywdy nie uczynił, nie uczynię i tobie, tylko musisz sobie na to zasłużyć, być dobrą, posłuszną i zaufać mi.

Dzisiaj po tem wszystkiem coś przeszła, nowa krzywda spotkałaby cię, gdybym n. p. wolność ci zwrócił...!

— Wróć mi wolność panie! Wróć! — wykrzyknęła mimowoli nagle, składając błagalnie dłonie.

— O szalona niewiasto! Sama nie wiesz, co mówisz!

Przypuśćmy, iż zgodziłbym się na twą nierozsądną prośbę i obdarzywszy wolnością puścił cię samopas w puszcze.

— Czy wiesz, co by cię czekało?

— Oto zginęłabyś okrutną śmiercią, bo puszcza wkrótce pożarłaby cię, jak lew mrówkę, lub rozdarłyby cię na sztuki dzikie bestje, zanimbyś uszła kilkadziesiąt kroków...!

W tej chwili, jakby na potwierdzenie słów kupca, zaryczał w pobliżu jakiś duży zwierz i rzucił się w bok, ogniem przerażony, łamiąc z trząskiem i łomotem krze.

Niewolnica zadrżała i odruchowo przysunęła się bliżej swego pana.

— Gdyby jednak — ciągnął dalej kupiec — jakimś cudem udało ci się ująć śmierci z głodu, czy z pazurów dzikiego zwierzka i wróciłabyś na zgliszcza dawnego swego gródka, toby cię czekała jeśli nie śmierć, to nędza, samotność i opuszczenie. Nie zastałabyś tam bowiem ani męża, ani dziatki i już nie zastaniesz, bo — jak mówili

Rusowie na zamku w Przemyślu a nasi kupcy potwierdzili — twój Mścibój poległ przy oblężeniu Czerwienia a dziatki kazał zamordować Wasylko, co z jego ust słyszałem, a czego się sama domyślałaś.

— Boże, zmiłuj się nademną! — jęknęła z rozpaczą i poczęła rzewnie płakać.

— Nie jesteś więc już zamężną, lecz wdową i to wdową biedną, opuszczoną, bez dziatki i żadnej podpory, samą na świecie jak palec!

Nie miałem zamiaru obwieszczać ci tych smutnych dla ciebie nowin i świeżej rany rozdrapywać, ale sama mię do tego zmusiłaś.

Żal mi cię bardzo, ale widocznie taka wola boska i takie twoje przeznaczenie, któremu nikt nie ujdzie. Trzeba się woli boskiej poddać a z przeznaczeniem pogodzić.

Ciężko cię Bóg doświadczył — tłumaczył z przejęciem stary, chytry Grek, — ale widać, że ci obmyślił lepszy w nagrodę los, aniżeli miałaś dotąd, uczyniwszy cię niewolnicą w moich rękach. Że zostałaś niewolnicą jako wdowa po tych strasznych przejściach, to nie jest dla ciebie nieszczęściem, ale szczęściem, nie złem, ale dobrem.

Wiedz o tem, że w Bizancjum cesarzowa była także niewolnicą, że wiele niewolnic, które ja kupiłem a potem sprzedałem, zostało księżniami i dostojnymi paniami.

Ty, pochodząca z szlacheckiego rodu, choć wychowana w puszczy i w kraju jeszcze na pół dzikim przecież przez swą urodę godna jesteś tego, aby zostać także księżną, mieszkać nie w nędznym gródku wśród głuchych borów, lecz w stolicy świata w marmurowych pałacach, wśród

bogactw, przepychu i hołdów, mieć na swe rozkazy gromady posłusznych niewolników i niewolnic, spoczywać na szytych złotem wezgłowiach i jeździć w pozłocistych karocach lub lektykach.

To wszystko w niedługim czasie będzie twoim udziałem a ja, dziś twój pan, za zaszczyt poczytywać sobie będę, gdy ty łaskawie spojrzeć zechcesz na mnie i polecisz mię swemu dostojnemu małżonkowi!

Nie płacz, uspokój się!, bo szkoda twych pięknych oczu, — to mówiąc z tkliwością pogłaskał ją i pocałował w głowę, jak ojciec córkę.

Niewolnica wśród płaczu słuchała tej przemowy, płynącej jak potok z ust starego Greka i uwierzyła.

— Ja widzę — odrzekła nieco uspokojona, — że jesteś panie człowiekiem dobrym i szlachetnym i krzywdy mi nie uczynisz, lecz chcesz mego dobra!

— Czy jednak to jest prawdą, że Mścibój poległ a dziatki zabite?

— Bóg mi świadkiem, iż prawdą jest i chyba cud boski może ich wskrzesić! — odparł z całym przekonaniem kupiec — dodając : Nie mówmy już o tem, bo ci to boleść sprawia.

Idźże teraz na spoczynek do swego namiotu i pamiętaj o tem, co ci mówiłem i jaki los cię czeka a zapomnij o tem, co przeszło, co umarło i nie wróci już więcej.

Długo w noc, pod wpływem tych wieści i tej rozmowy, Zbegna płakała i z żalu utulić się nie mogła.

Wszystko, na czem dotąd budowała i w tym

celu układała swe plany, przysło nagle jak bańka mydlana.

Została teraz sama jedna, bez żadnej podpory, — jak mówił kupiec — biedna, opuszczona wdowa.

Już Mścibój nie przybędzie, bo poległ, już dziątek nie ujrzy więcej, bo pomordowane, więc i uciekać niema do kogo, ani do czego!

Wszystko zniszczone i wszystko przepadło i zczeszło nagle, nawet niema żadnej nadziei!

Zostaje jeno nowe, nieznanne życie i dziwna nieoczekiwana i niepewna przyszłość, o której jej tyle opowiadał Grek.

W tej rozterce poczęła się gorąco modlić, jak umiała.

Nazajutrz spokojna i zrezygnowana, choć smutna bardzo, spuściwszy na twarz zaslonę pojechała z karawaną w dalszą, nieznaną drogę.

Od tej chwili zaniechała już pleść kółka i rzucać je za sobą...

## ROZDZIAŁ VIII.

Gdy król podstąpił pod Przemyśl i rozpoczęły się pod jego wałami walki — w mieście zapanowała wśród Rusów trwoga, a wśród Polaków nieopisana radość.

Rusowie, nie dowierzając Polakom jak również kolonistom, Niemcom, sprowadzonym jeszcze za czasów wielkiego Bolka Chrobrego przed 50 ciu laty do Przemyśla, poczęli jednych i drugich nękać i prześladować.

Dufając w swe wielkie siły postanowili bro-

nić się do upadłego, tem bardziej, iż liczne rzesze Rusów wraz z rodzinami i dobytkiem zewsząd do Przemyśla uciekły, szukając w jego wałach schronienia i ratunku.

W czasie walk, ku wielkiemu zgorzeniu i oburzeniu Rusów, koloniści z małego swego kościółka modrzewiowego wychodzili z uroczystą procesją, i niosąc relikwie św. Urszuli i św. Gereona przewiezione do Przemyśla z pod Kolonji <sup>1)</sup> śpiewali: *Kyrie elejson! Chryste elejson!* Do nich przyłączali się Polacy i w tych procesjach brali wielki udział, błagając świętych patronów o zwycięstwo dla oręża polskiego.

Po pięćdziesięciu latach pobytu w Przemyślu synowie i wnuki Niemców z pod Kolonji już się poczęści spolonizowali i żyli z Lechitami. Ci zdolni rzemieśnicy trudnili się również uprawą winnej latorośli i założyli piękne winnice na stokach góry leżącej pod grodem nazwanej od tego czasu Winną Górą.

Rusowie zazdrościli kolonistom tych relikwii i bali się ich mocy, ale wystąpić przeciw procesjom nie odważyli się, aby klęski i nieszczęść nie sprowadzić na swe głowy.

Polacy z kolonistami po cichu odbywali narady i zbroili się, aby w sposobnej chwili uderzyć na Rusów.

Najemne drużyny pogańskich Pieczyngów z rozkazu kniazia poczęły nękać Lechitów ciągłemi rewizjami za bronią i więzić ich na zamku.

---

<sup>1)</sup> Relikwie te do dziś dnia istnieją w katedrze przemyskiej i są obnoszone w czasie procesji w dzień św. Marka.

Nie było dnia, aby kilku co przedniejszych rycerzy nie popędzono w więzach do lochów zamkowych.

Temu losowi ulegli starcy Bożymir i Sędzimir i wielu innych.

Mimo to pozostali mieszkańcy lechiccy nie zatrwożyli się, ale tem silniej wierzyli, że ich dzień wyzwolenia już bliski i w czasie procesji tem żarliwiej o to modlili się.

Kilkanaście dni, które zeszyły na krwawych harcach pod wałami grodu, król wyzyskał do budowy machin i wież oblężniczych przez licznych budowniczych i rzemieślników greckich, sprowadzonych w tym celu na wyprawę kijowską z dalekiego Carogrodu.

Zarazem kazał obwieścić swoim wojownikom, iż po odbiciu miasta wszelka zdobycz należeć będzie do nich. Nakazał jednak, pod karą śmierci, życia mieszkańców zwłaszcza lechickich oszczędzać. Ich domostw i mienia nie wolno było naruszyć.

Po tych przygotowaniach wsiadł na koń i w orszaku najprzedniejszych rycerzy począł wokół Przemyślna objeżdżać w odległości strzelenia z łuku.

Na wałach stali uzbrojeni Rusowie, patrząc ciekawie na orszak królewski jadący noga za nogą.

Za wzgórzami lipowickimi pokrytymi gęstym borem krwawo zachodziło słońce i pomału gasły zorze wieczorne, odbijając się w wypolerowanych zbrojach króla i jego rycerzy; natomiast zorza świeciła w młodem obliczu królewskim, potężne skry padały z jego orlich źrenic a blask bił od srebrnego orła na pancerzu z połćocistych łusek uczynionego.

Nagle Rusowie na wałach poczęli napinać łuki i puszczać strzały na orszak królewski.

Jedna ze strzał padła u nóg konia króla.

Przestraszony rumak rzucił się w bok, ale odważny król powstrzymał go cugłami, groźnie patrząc na ruskich łuczników, jakby chciał wypatrzyć wśród nich tego śmiałka, który wypuścił nań śmiercionośną strzałę.

W blaskach zachodzącego słońca dojrzeli Rusowie potężną postać młodego króla i jego groźne oblicze.

Zmieszani i zatrwożeni opuścili bezwiednie łuki na ziemię, wołając: Korol Bolko! Korol Bolko!

W tych okrzykach był podziw i trwoga, zachwyty i przerażenie.

A król, nie zważając na te pomruki, szmery i wołania idące z wałów, jechał dalej obojętnie wyniosły, dumny, potężny mówiąc do swego otoczenia: Warowny to gród! Srogie ma wały i baszty, ale za trzy dni muszą być nasze. Zamek jednak na tem wzgórzu trudniejszy będzie do zdobycia i kosztować będzie wiele krwi!

— Za trzy dni weźmiem Przemyśl! — odpowiedzieli z mocą rycerze.

Zorze wieczorne zgasły i powoli mrok począł ogarniać ziemię; świecił jeno srebrny orzeł królewski, zdala widny jako jedyna nadzieja i otucha dla wiernych Lechitów zamkniętych w tym grodzie.

Na Rusów padł strach.

Nazajutrz po zbadaniu grodu przez króla poczęły na jego rozkaz posuwać się na walcach straszne wieże i maszyny oblężnicze z pomostami, pchane przez tysiące wojowników a równocześnie

tysiące pieszych spieszyło z drabinami pod wały i bramy.

Wśród zwycięskich okrzyków podciągnięto pod fosy maszyny, zasypywane deszczem strzał nieprzyjacielskich. Równocześnie poczęto z wałów miotać na drewniane wieże płonące żagwie a na wdzierających się po drabinach toczyć ciężkie kłody i kamienie.

Na zaciekły atak odpowiedziano zacieklą obroną.

Z przytoczonych kilkunastu wież dwie poczęły płonąć jasnym płomieniem i z trzaskiem zapadać się w fosy napełnione wodą.

Już ciemności zapadły a walka toczyła się dalej wśród mroków nocnych z coraz większą zaciętością.

W miejsce spalonych wież toczono ku wałom na fosy inne, z których wnętrza ukryci wojownicy napróżno zarzucali pomosty na wały, aby po nich dostać się do miasta. Z kusz i łuków rażono wychylających się a pomosty obalano i zarzucano ogniem i kamieniami.

Pod bramy, uczynione z dębowych bierwion a skowane żelaznemi sztabami i łańcuchami, napróżno się podsuwano pod osłoną tarcz i rąbano je toporami.

Na śmiałków spadały kłody i ogień, smoła wżęca i ukrop.

Dwa dni i dwie nocy bez przerwy i wytchnienia trwała ta walka a jeszcze ani piędzi wałów nie zdobyto.

Król był chmurny i do nocy podobny.

Choć sam osobiście kierował oblężeniem i sam doglądał i prowadził do szturmów tysiące



swych wojowników. przecież wały pozostały nieuszkodzone i Rusowie bronili się dalej zaciekle.

Nagle w bliskości wałów w mieście wzniosły się potężne smugi dymu i z kilku naraz miejsc strzeliły ogniste języki płomieni a równocześnie wszczął się zgiełk, krzyk i wrzawa wojenna.

To Lechici dawali znać o sobie!

Król kazał toczyć w to miejsce wieże i wdzierać się.

Udało się zarzucić pomosty i wojownicy wtargnęli wreszcie na wały z mieczami w dłoniach „od strony pól otwartych.“

Rozpoczęła się walka wręcz na śmierć i życie.

Kilku rycerzy z Mścibojem na czele, którzy pierwsi wpadli, zostali otoczeni przez przeważające siły, ale mieczami i toporami otworzyli sobie drogę i ku swej radości, zobaczyli że w mieście tuż obok nich toczy się również walka garści polskich mieszkańców z Rusami wziętymi teraz we dwa ognie.

Jak rozżarte niedźwiedzie, ruszone przez ogary z ciemnych mateczników, gdy poczną z groźnym pomrukiem łamać krze, rozrywać na sztuki napastników, obalać ich i torować sobie drogę wśród gąszczy — tak kilku polskich rycerzy obaliło Rusów, mieczami i toporami wyrąbało sobie przejście, aby po ich trupach wpaść do miasta.

Za nimi jak w dym przeszli inni po pomoście a złączywszy się z garścią walczących koło palącego się domostwa poczęli razem posuwać się wśród zacieklej walki do środka.

Gdy coraz więcej Polaków wpadało, wały

opustoszały i walka toczyć się poczęła w mieście na miecze, topory, maczugi i noże.

Po kilku godzinach ulegli Rusowie i zaścieniwszy ulice gęstym trupem uciekli z rodzinami na zamek.

Rozwarła się teraz ciężka brama wschodnia, pękły żelazne okowy i łańcuchy i król Bolko z rycerstwem wśród okrzyków radosnych ludu wjechał do przemyskiego grodu jako zwycięzca i prawowity jego władca.

Poprzedzał go oddział trębaczy, którzy donośnie dęli w trąby i rogi, obwieszczając o zajęciu Przemyśla przez wojska królewskie.

Na rynku król zatrzymał się z Wszeborem i kilkoma znaczniejszymi dowódcami, wśród których był także Mścibój i odbył przegląd całej swej armji.

Na czele jechała drużyna królewska, okuta w żelazne pancerze z dobytymi mieczami w dłoniach a z toporami u siodła, za nią, inne liczne drużyny rycerzy polskich, czeskich, morawskich a nawet ruskich z Kijowa przez kniazia Izasława przydanych królowi, wszyscy na rosłych koniach a w żelazo odziani. Dalej oddziały tarczowników, łupieżców i mnogi lud pieszy, w topory, maczugi, rohatyny a nawet żelazne siekiery uzbrojony, chłopcy wybrane, ogromne, mocarne.

Byli wśród nich niezrównani łucznicy z łukami na plecach skórą okryci i z kusz pociski śmiercionośne miotający wojownicy. Na końcu liczne tabory wozów i drużyna konna z mieczami, która zamykała ten pochód.

Cała ta armja szła przed królem jak burza kilka godzin, aż ziemia dudniała, wśród dźwięku

trąb i rogów i gromkich na jego cześć okrzyków, a biła z niej potęga i moc straszliwa całej Słowiańszczyzny z Polską na czele.

Król Bolko siedząc na koniu baczenie każdą drużynę i oddział lustrował a z pod podniesionej przyłbicy srebrzystego szyszaka jaśniało radością młodzieńcze oblicze królewskie i bił zeń blask, większy, aniżeli od blach złocistych pancerza, bo jego znak, Orzeł Biały, z powrotem rozpostarł swe skrzydła nad grodem przemyskim.

## ROZDZIAŁ IX.

Pod wpływem hiobowych wieści o śmierci męża i dziatki Zbegna zmieniła się do niepoznania. Podczas, gdy jeszcze wczoraj ożywiona i wesoła interesowała się każdą drobnostką, wiała kółka i wypytywała się o wszystko, dziś siedziała wśród rozbawionych towarzyszek obojętna i jakby nieczuła, opłakując jedynie stratę swoich najbliższych ukochanych. Zbladła, zmizerniała, nie spała i nie jadła, lecz tylko wzdychała i płakała, aż oczy jej od tego płaczu popuchły.

Napróżno towarzyszki starały się ją rozerwać i rozprószyć ten smutek, napróżno ją kupiec pocieszał i otaczał wszelkimi wygodami i zasypywał słodyczami; była niepokieszona i ciągle milcząca aż jej właściciel tym stanem swej niewolnicy był wielce zmartwiony.

Trzeciego dnia przed wyruszeniem w drogę zbliżył się do Ezechiela i odezwał się doń w te słowa :

Ezechielu, synu Dawida! Mam kłopot, bo moja niewolnica, Zbegna, ciągle płacze a żal żre ją, jak rdza żelazo po stracie męża i dzieciak.

Byłem na tyle nieostrożny, iż jej obwieściłem tę straszną dla niej nowinę o śmierci męża pod Czerwieniem i o zamordowaniu dzieciak przez Wasylkę, dodając, iż jest obecnie biedną i samotną wdową, która nie ma do kogo już wracać i z kim tęsknić.

— A czy to prawdziwe były te wieści? — zapytał Ezechiel.

— Jako żywo, prawdziwe a opowiadali o tem Rusowie głośno w Przemyślu!

— Więc dobrze i słusznie uczyniłeś, odkrywając jej prawdę! — pochwalił Ezechiel.

— Pokazuje się, iż nie dobrze się stało, bo ona wzięła sobie to bardzo do serca, gryzie się tem, płacze i w oczach niknie ze smutku i tęsknoty, tak, iż zaczynam się o nią obawiać, aby nie zmarniała i z ceny nie spadła.

Wielce to delikatny i drogi, towar z którym dość jest kłopotu, dlatego zamyślam sprzedać ją w Budzie, bo nie wiem, czy do Bizancjum dowiozę.

Tymczasem jednak trzebaby jej tę rozpacz jakoś wybić z głowy, rozerwać i rozweselić ją. Ja tego nie zdołam, ale ty Ezechielu jako mąż obrotny a do tego młody i urodziwy prędzej poradzisz, dlatego proszę cię, uczyni to dla mnie i w czasie drogi wzięwszy ją pod swą opiekę, staraj się jej smutek rozprószyć, aby się ożywiła i o nim zapomniała.

Ezechiel słuchał uważnie, spoglądając podejrzliwie na starego Greka, poczem wyrzekł: Dobrze, uczynię to dla ciebie Kostopulosie, wezmę twą niewolnicę w opiekę i będę się starał ją rozzerwać i rozweselić, tembardziej, iż na tem nic nie tracę a mogę tylko zyskać...!

— Dzięki ci Ezechielu, synu Dawida! — odpowiedział uradowany Grek i dodał: masz tu oto drogocenny szal z indyjskiego jedwabiu przetykany złotem, wręcz go odemnie, niechaj się uraduje jej serce!

Niedługo potem Ezechiel, siedząc ze Zbeganą obok siebie na jednym wozie, rozmyślał nad tym projektem i słowami Greka, czy niema tu jakiego podstępu z jego strony, mówiąc do siebie: Nie dla ciebie, chytry Greku, będę pracował, lecz dla siebie!

Zbegna siedziała ze spuszczoną zasłoną, smutna i zadumana.

— Czemu ty Zbegno jesteś smutna i przygnębiona? — zapytał ją z wielką tkliwością, biorąc pod ramię.

— Jak mam być wesoła, gdy męża i dziatki straciłam i jestem biedną, samotną wdową! — to mówiąc poczęła płakać.

Jak umiał pocieszał ją młody kupiec, dodając iż nie jest ani biedną, ani samotną, bo jej niczego nie brak, wszyscy z nią współczują i wszyscy ją miłują i — aby ją rozerwać — począł opowiadać różne swe przygody w dalekich krajach, zwyczaje i obyczaje ludów dzikich, podróże po morzach, burze, walki itd.

Zbegna z początku obojętnie słuchała, w mia-

rę opowiadania poczęła się ożywiać, podniosła sama zasłonę a utkwivszy swój wzrok w twarzy kupca pochłaniała każde jego słowo. A gdy kupiec przestał — chcąc wywołać wrażenie — pytała sama o dalszy ciąg i przebieg wielce zaciekawiona i zajęta.

Opowiadając o dalekich Indjach wyjął szal i wręczając go jej dodał: Kostopulos i Ezechiel ofiarują ci Zbegno na pamiątkę ten oto cudnej roboty jedwabny szal ze szczerozłotemi nitkami utkany w Indjach, który noszą na głowach tylko królowe i księżniczki. Noś go w szczęściu i radości a, gdy zostaniesz niedługo może także księżną, wspomnij na Ezechiela!

Zdumiona niewolnica przyjęła szal obojętnie, patrząc nań jednak jako kobieta z zaciekawieniem, bo czegoś podobnego ani nigdy w życiu nie miała, ani nie oglądała. Podziękowawszy zań uprzejmie, trzymała go w rękę. Dopiero na prośby i nalegania kupca, rozwinęła go i ubrała na głowę.

Pierwsze lody były przełamane a przebiegły Ezechiel kuł dalej żelazo, dopóki było gorące.

Ponieważ wóz trząśł niemiłosiernie i w wybojach leśnych na korzeniach przechylał się niebezpiecznie, w obawie, aby niewolnica nie poniosła szwanku, objął ją w pól delikatnie ręką i przytrzymywał dalej, choć niebezpieczeństwo minęło i wozy toczyły się już po gładkiej drodze.

Zbegna nie protestowała wcale przeciw tej zbytnej troskliwości kupca, zasłuchana i jakby zahipnotyzowana jego opowiadaniem o dalekich Indjach,

Siedzieli sami we dwoje na jednym wozie, za

nimi jechały inne z kupcami a najbliżej wóz Kostopulosa.

Nawet nie spostrzegli, jak szybko przeszło południe i słońce toczyć się poczynąło ku zachodowi.

Byli głodni.

Ezechiel widocznie pewny, iż niewolnicy nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, wypuścił ją na chwilę ze swej opieki a natomiast dobył z pudła różnych bakalijs i raczył ją, zachęcając do jedzenia, poczem ze skórzanego wora częstował winem greckiem, którego kilka kubków jeden po drugim wychylili oboje.

Zbegna już była spokojniejsza a nawet weselsza.

Kostopulos z tyłu jadący, widząc to, zacierał ręce z radości.

Po kilku dniach znać już było skutki opieki Ezechiela.

Niewolnica otrząsnęła się z rozpacz i oderwała się od smutnych myśli, tak iż dawne straszne przejścia a nawet ostatnie wieści poczęły powoli zacierać się w jej duszy.

Otoczona wygodami, czuła opieką i zbytkiem, wyróżniana nadzwyczajnemi względami kupców a ujęta pieczołowitością i tkliwem współczuciem Ezechiela — poczęła się przyzwyczajać a nawet już godzić ze swym losem.

— Ta niewola — mówiła do siebie — nie jest jednak tak straszna, jak sobie wyobrażałam a ci kupcy a zwłaszcza Ezechiel, to ludzie dobrzy i mądrzy. Może doprawdy dobrze mi będzie i będę szczęśliwa...?

Niema rady — myślała — tylko trzeba się poddać woli bożej i pogodzić z losem, jaki mi Bóg zesłał. Wszak i patriarchę Józefa zaprzędali bracia a przecież to ani jemu ani jego braciom i całemu ludowi izraelskiemu nie wyszło na złe.

Może da Bóg, że i mnie nie wyjdzie.

Chociaż się jednak przyzwyczaję, chociaż będzie mi dobrze, przecież ani o Mściboju ani o moich ukochanych dziatkach do końca życia nie zapomnę i zawsze ich opłakiwać będę.

Tak to rozmyślała i tak sobie tłumaczyła biedna niewolnica.

Jeden dzień za drugim szybko w towarzystwie a pod troskliwą opieką Ezechiela upływał i nawet nie spostrzegła, jak wśród opowiadań droga idąca wzdłuż Sanu zboczyła na zachód a potem na południe i stanęli pod Karpatami na wzgórzu, skąd wokół rozciągał się piękny widok na całą puszczy.

Na dole płynęła wartkim prądem jakaś szeroko rozlana rzeka, za którą widać było olbrzymi szmat uschniętego lasu.

Drzewa stały bezlistne, smutne jak w zimie.

Gdy karawana rozłożyła się na noc obozem i zapłonęły wokół ogniska, nagle wśród tego cmentarzyska bezlistnych drzew poczęły błyskać liczne małe ogniki, które rosły, potężniały aż wreszcie wystrzeliły w olbrzymie słupy płomieni.

Równocześnie słyhać było jakiś przytłumiony trzask i jakby straszny, potężny syk tysięcy węzów zmieszany z rykiem i wyciem dzikiego zwierza, który od tych huczących płomieni pędził z łomotem w popłochu wprost na karawanę. Z mrocznych kniei wybiegały srogie tury i żubry, mrukliwe



niedźwiedzie, drapieżne wilki, rysie i żbiki, płochliwe jelenie, łosie i sarny, które pospołu obok przebiegały w jakimś dziwnym przerażeniu.

Na karawanę padł strach. Zbledli kupcy, zadrżały niewolnice a nawet przestraszyli się zbrojni pachołkowie.

Bory się palą! Puszcza płonie! — wszyscy szeptali, bezradni i zatrwożeni, patrząc ze zgrozą na krwawe łuny bijące wśród ciemności aż ku niebiosom.

Płomienie z błyskawiczną szybkością poczęły ogarmiać na dolinie coraz więcej drzew, pożar rozszerzał się i uczyniło się jakby jedno morze płonące, od którego szedł żar i dym.

Straszliwy żywioł huczał i jak smok pożerał puszcze.

Pomału jednak dym począł ustępować i tylko szalały płomienie.

W puszczy było widno, jak w dzień.

Niewolnice skupiły się razem, drżąc z przerażenia i modląc się głośno o ocalenie; do nich zbliżyli się kupcy i pachołkowie, bo groza wspólnego niebezpieczeństwa wszystkich złączyła.

Do Zbegny podszedł jej opiekun i nieodstępny towarzysz Ezechiel i objąwszy ją tkliwie ramieniem szepnął: Nie bój się! Nie drżij! Nic się nam nie stanie!

— Uciekajmy! — odezwały się głosy wśród kupców i niektórzy rzucili się już w obłądnym strachu na oślep do ucieczki.

— Stać! krzyknął donośnie Kostopulos — niema jeszcze niebezpieczeństwa i ogień do nas nie dojdzie!

Z trudem powstrzymał panikę i wszyscy zostali na miejscu.

Wśród krwawych łun stali obok siebie w milczeniu, patrząc ze zgrozą na ten rozszałały żywioł, pochłaniający puszcę.

Jak przewidział Grek, pożar zatrzymał się u wzgórza; powstrzymała go szeroko rozlana rzeka i gęsta, zielona ściana liściastego boru, wprawdzie osmolona, okopcona i skręcona, ale nie strawiona żarem; — ogień poszedł w przeciwnym kierunku.

Błady świt przyniósł przestraszonej karawanie ulgę i zmniejszył grozę i obawy, bo za dnia nie wydawał się pożar już tak straszny.

Jak się okazało, to osadnicy, aby sobie ułatwić trzebieenie puszczy obdarli jeszcze w jesieni z kory na dole drzewa na przestrzeni kilkunastu morgów a obecnie uschnięte podpalili i w ten sposób przygotowali kawał puszczy pod orne pole.

Był to w onych czasach zwykły, choć wielce niebezpieczny sposób trzebieienia borów.

Gdy się już dzień uczynił, ogień począł pomału przygasać. Karawana tego dnia została na postoju a kupcy i służba używali po bezsennej i pełnej wrażeń nocy spoczynku.

Zbegna, wypuszczona na chwilę z pod opieki Ezechiela, usiadła zmęczona pod drzewem.

Wkrótce sen niezmożony począł ją ogarniać, a kształtna główka spowita w jedwabny szal przechylać się! Niedługo twardo usnęła, oparta o drzewo.

Widocznie sen miała miły, bo poczęła się słodko i niewinnie uśmiechać i śnić może o swym gródku, o drogich chłopiętach i o walecznym

Mściboję, który ją porwał w swe mocarne ramiona i tulił i pieścił.

Nad nią szumiała jeno puszcza a do snu kołysała ją ptactwo.

Nagle, jak pod ukąszeniem gadziny, zbudziła się.

Obok niej klęczał młody handlarz a obejmując, całował namiętnie oczy i usta i szeptał: Zbegna! Zbegna! Ja cię miłuję! Ty musisz być moją! moją!

Zerwała się niewolnica, odepchnęła handlarza od siebie a płomienie uderzyły jej na twarz, z ócz zaś strzeliły błyskawice gniewu i oburzenia i nagle stanęła przed nim nie posłuszna, uległa i zboląła niewolnica, lecz straszna i groźna jakaś pani.

— Precz odemnie! — krzyknęła z mocą — nie chcę i nie będę twoją, żydowinie!

Zdumiał się kupiec i patrzył osłupiały na tę nagłą przemianę w niemem milczeniu. Nie mógł bowiem zrozumieć, jak ta cudna niewolnica, która przedtem tak się weń wpatrywała i tak była dlań usłużną i uprzejmą, teraz nagle zbuntowała się, odepchnęła go i miasto cieszyć się wzgardziła jego miłością!

Był pewny, że po tylu dniach zachodów, opieki i troskliwości ta niewolnica rzuci mu się na szyję i za miłość miłością odpłaci i wdzięczną jeszcze mu będzie, tymczasem ona, którą każdej chwili może kupić za złoto — ucieka, odpycha, gardzi nim a nawet grozi mu!

Chciał jeszcze do niej przemówić, ale niewolnica szybko odwróciła się i pobiegła do namiotu swych towarzyszek.

Wściekły a zarazem upokorzony udał się bezwzględnie ze skargą do Greka.

— Kostopulosie! — odezwał się, trzesąc się cały z oburzenia — dzika i zuchwała ta twoja niewolnica Zbegna! Zaledwle ją trochę uspokoiłem, gdy ona jak szalona omal się na mnie nie rzuciła przed chwilą.

— Co się stało? — zapytał zdziwiony Grek — patrząc badawczo i spokojnie na swego współnika.

— Nakazałem jej przecież, aby była dla ciebie usłużną i uprzejmą!

— Widać, że waży sobie lekce twoje rozkazy bo szaleje i miota się. Trzeba dla niej silniejszej ręki, dlatego najlepiej będzie, jak mi ją sprzedasz.

— Chcesz ją kupić? — wykrzyknął Grek zdziwiony.

— Tak jest!

— Cóż ci przyjdzie z takiej dzikiej niewolnicy?

— Już ja ją obłaskawię i uspokoję!

— Czy chcesz kupić dla siebie, czy na handel?

— Dla siebie!

— Nie miałem zamiaru jej sprzedawać obecnie, ale trudno ci odmówić. Wobec tego, że to ma być dla ciebie, dam ci opust jako kupcowi.

— Więc ile za nią żądasz? — pytał niecierpliwie Ezechiel.

— Zbegna warta z zawiązanemi oczyma choćby dziesięć funtów złota — mówił Grek spokojnie — lecz tobie dam ją tylko za siedem, okrągło za 500 solidów!<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Solid, moneta złota bita w Bizancjum, wielkości i wartości złotej 20 koronówki. A więc 500 solidów przeszło 10.000 złotych w złocie.

— Kostopulosie! — wykrzyknął oburzony wspólnik — ty sam nie wiesz, co mówisz, podając taką cenę!

— Cena to sprawiedliwa a nawet dość niska! Chcesz, dobrze, nie chcesz, drugie dobrze!

Ja wezmę niedługo za nią, choćby w Budzie, siedemset albo może nawet tysiąc solidów; ale powiedz mi, ile ty Ezechielu synu Dawida, możesz dać i ile Zbegna dla ciebie warta?

— Dam ci za nią dwieście solidów! — wyrzekł Ezechiel podniecony.

— Za dwieście solidów dam ci Aretę lub Zonę, ale nie Zbęgnę!

— Dam dwieście pięćdziesiąt!

— Ani solida mniej od pięciuset!

— Chcesz trzysta?

— Nie! — odrzekł spokojnie i dobitnie stary Grek, bacznie obserwując wzburzonego swego wspólnika.

Ezechiel wybiegł z namiotu Kostopulosa jak oszalały, nie zrobiwszy interesu.

Wprawdzie chciał posiadać niewolnicę, i prosił jej, ale jako kupiec obliczył, iż więcej dlań nie warta, jak trzysta sol. i poza tę cenę nie mógł pójść, bo się obawiał straty. Cena pięćset solidów była dlań jako zbyt wysoka nie do przyjęcia i dlatego począł przemyślać nad innym, tańszym sposobem nabycia Zbegny.

Po tej niedoszłej transakcji długo Grek obliczał i zastanawiał się a wkońcu kazał do siebie wezwać niewolnicę.

— Zbegno! — odezwał się surowo — przed chwilą był tu Ezechiel i żalił się na ciebie, iż jesteś wobec niego zuchwała i dlań nieprzyjazna!

Powiedz mi, co to się stało i jaka tego przyczyna?

— Bo ów żydowin powiedział, iż mię miłuje!  
— odparła, z trudem hamując oburzenie.

— No no, to niema w tem nic zdroźnego!  
— odrzekł, uśmiechając się stary kupiec. Każda inna na twojem miejscu cieszyłaby się i uważałaby to sobie za szczęście a ty się gniewasz i oburzasz!

Niewolnica milczała, spuściwszy głowę ale widać było, że jest wzburzona, bo pierś jej falowała a z oczu szły groźne błyski,

— Pozwól mi panie! — odpowiedziała sucho — jechać z towarzyszkami w dalszą drogę i nie zmuszaj przebywać z onym żydowinem!

— Dobrze! Stanie się wedle twojej woli, jeno wypogódź swe oblicze i bądź mi jak przedtem uprzejmą, spokojną i wesołą, bo niewiast smutnych i płaczących nie znoszę.

Opieka Ezechiela skończyła się.

Po krótkiem oszołomieniu Zbegna przejrzała i ocknęła się, unikając zastawionych sideł. Chytry bowiem Grek, oddając ją pod opiekę Ezechiela liczył, że ten rozmiłowawszy się w niej, kupi ją za każdą cenę. Tymczasem przeliczył się i zawiódł srodze.

Zbegna o tej transakcji nie wiedziała.

Nazajutrz karawana miała niespodziewanych gości.

Oto nagle nadjechał oddział niedobitków ruskich, rozgromionych przez Mściboją w czasie walk pod grodem przemyskim, którzy w popłochu i przerażeniu wielkiem uciekali na Węgry, ciągle spodziewając się pogoni. Byli wyczerpani,

z głodniami i poranieniami, bo podjazdy wojsk królewskich gnały ich zapamiętałe kilka dni, nie dając ani chwili wypoczynku. Spotkawszy na swej drodze kupiecką karawanę, wielce uradowali się i opowiadali kupcom szeroko o strasznych walkach pod wałami, o śmiertelnym pojedynku Mściboja z Wasylką i o śmierci tegoż z ręki Mściboja dodając, iż zapewne już gród został przez króla Bolka zdobyty.

Chociaż wieści te były ukrywane, jednak ciekawe niewolnice niedługo dowiedziały się o nich od pacholków. Jedni mówili, że to poległ Mścibój inni, że Wasylko.

Zbegna usłyszawszy o tem, wpadła w prawdziwą gorączkę i nie mogła sobie znaleźć miejsca, snując różne plany.

Po chwilowej rozpaczce i zwątpieniu obudziła się w jej duszy znów z powrotem żądza wolności i ucieczki. Ta złamana, zrezygnowana a oszołomiona i oszukiwana dotąd przez chytrych handlarzy niewolnica, która już poczęła się godzić ze swym losem, obecnie jakby na nowo odżyła; nadzieja wstąpiła do jej serca a usta jak w malignie ciągle powtarzały: Mścibój żyje! Mścibój mię odbije! Mścibój już się pomścił! Nie jestem już wdową!

I poczęła gorączkowo snuć śmiałe plany ucieczki i znów więc i rzucać kółka na drogę.

## ROZDZIAŁ X.

Po zajęciu grodu, wedle dawnego zwyczaju a przyrzeczenia królewskiego wszelką zdobycz stała się sprawiedliwym łupem zwycięskich wojowników.

W Przemyśle poszło to tem łatwiej, ponieważ przeważna część ludności ruskiej w obawie rzezi uciekła na zamek, pozostawiając swe domostwa i mienie na łasce losu.

Podczas gdy inni wojownicy rzucili się na poszukiwanie łupów, Mścibój, zlany jeszcze świeżą krwią nieprzyjaciół, biegał jak oszalały, przetrząsając każdy dom i szukając swej małżonki.

Wokół leżały jeszcze stosy trupów i dymiły zgliszcza spalonych domów.

Wśród zgiełku wojennego uwijały się oddziały łupieżców a na ich czele Mścibój. Pomimo jednak najskrzętniejszych poszukiwań ani swej małżonki nie znalazł, ani nie zdobył żadnych pewnych wieści o jej losie.

Wedle przypuszczeń polskich mieszkańców musieli ją Rusowie uprowadzić ze sobą na zamek. Wprawdzie widziano także kupców greckich i żydowskich wyjeżdżających na Węgry a z nimi kilka niewiast w zasłonach, ale co to za niewiasty były, o tem nikt nie wiedział i trudno przypuścić, aby wśród nich była Zbigniewa. Choć był tym zawodem wielce zgryziony, jednak pocieszał się nadzieją, że po zdobyciu zamku ją odnajdzie.

Król tymczasem zamieszkał ze służbą w jednym z największych i najpiękniejszych domów, który stał się odtąd na dłuższy czas królewskim pałacem, przybranym bogato w zdobyczne sprzęty



i mąkaty. Dowódcą grodu mianował Mściboją, zaprowadził w mieście z powrotem rządu polskie a dla rannych i chorych wojowników przeznaczył opuszczone przez Rusów domostwa, otaczając ich opieką i wszelkimi wygodami.

Po tych zarządzeniach. w towarzystwie Wszeborą i kilkunastu najznamienitszych rycerzy, udał się na oglądnięcie obok położonego a zdala widnego zamku.

Na szczycie wyniosłego i niedostępnego wzgórza, oblanego od północy szeroką wstęgą Sanu wznosiły się jakieś olbrzymie budowle zczerniałe od starości, z potężnych dębowych tramów ucynione a na ciosach kamiennych z wysokimi czterema basztami i palisadami osadzone. Jak głosiło podanie było to zamczysko lechickie jeszcze z czasów pogańskich, za panowania księcia Przemysława, przed blisko pięciu wiekami, z tysiącletnich dębów pamiętających może nawet czasy Chrystusa Pana zbudowane<sup>1)</sup>.

Zdobyty ten zamek wraz z grodem przez księcia ruskiego Włodzimierza<sup>2)</sup> odbił z powrotem<sup>3)</sup> wielki Bolko Chrobry, ale po jego śmierci znów nim zawładnęli Rusowie, aż dopiero poraż drugi, musiał go odbijać prawnuk jego Bolko Śmiały.

Na widok jego obronności pokryło się chmurą smutku młode oblicze królewskie.

—Prawdziwie orle to gniazdo!—mówił król do swego orszaku — które dużo krwi czasu koszt-

<sup>1)</sup> Na początku VIII wieku. Tu gdzie dzisiaj trzy krzyże.

<sup>2)</sup> W r. 981.

<sup>3)</sup> W r. 1018.

wać nas będzie, ale odbił je mój pradziad, to i ja je odbić muszę!

— Jak nie wskóramy oblężeniem, to je weźmiem głodem — odrzekł Wszebor, — bo dużo się tam schroniło luda a żywności ponoć jest nie wiele.

Nazajutrz kazał król zamek wokół okopać, ścisnął go obręczą gęstych posterunków i straży i otoczył ludem zbrojnym tak, że zeń jeno ptak mógł wylecieć, poczem przywołał trzech znaczniejszych rycerzy z Mścibojem i takie dał im instrukcje: Pójdziecie do kniazia w moim imieniu, aby bez zwłoki wydał mi zamek. Co gdy uczyni, pozwolę mu z całym wojskiem i z bronią w ręku wyniść dokąd zechce, słowem królewskim ręcząc za jego i jego wojowników życie i zdrowie, jak również za wszystkich mieszkańców, którzy się doń schronili.

Jeśli jednak nie zgodzi się, wezmę zamek, siłą lub głodem a wówczas biada im — wytracę ich bez litości a mienie ich oddam na łup moim wojownikom. Za jeńców i zakładników, których pobrali — dodał król — oddam im w dwójnasób tylu ruskich.

— Czy swoją niewiastę odnalazłeś Mściboju? — zapytał król.

— Nie! Miłościwy Panie! Moją niewiastę — jak mi doniesiono, — uprowadzono na zamek.

— Zażądacie w moim imieniu wydania jej za dwóch znamienitych rycerzy ruskich a naszych jeńców.

Skłonił się do kolan królewskich Mścibój za tę łaskę, poczem bezzwłocznie udał się z towarzyszami na zamek.

Kniaź z wielką wystawnością i przepychem przyjął posłów królewskich a wysłuchawszy ich odrzekł: Zamku królowi nie wydam. Gród sam zdobyliście, ale zamkowi nie dacie rady i zęby sobie na jego skałach i palisadach połamiecie. Umyślnie nie kazałem wam oczu zawiązywać, abyście się mogli przekonać naocznie o jego warowności i obronności.

— Głodem go weźmiem! — odpowiedział spokojnie Mścibój.

— Nim go głodem weźmiem nam przyjdzie odsiecz.

— Skąd? — pytał dalej rycerz.

— Z Włodzimierza, Halicza, Trembowli i z całej Rusi! — wykrzyknął w gniewie.

Zamilkli posłowie, nie chcąc go drażnić i przeszli do wymiany jeńców i zakładników.

— I o tem nie pora prowadzić rozmowy!

— Aleć wśród jeńców jest także porwana podstępem moja małżonka przez pobitego Wasylkę.

— Tyżeś to, ów Mścibój, który w ręcznym boju pokonał Wasylkę? — zawołał kniaź zdumiony, bacznie mu się przyglądając.

— Jam jest! — odrzekł rycerz, dumnie głowę podnosząc.

— Niewiasta owa jest branką, zdobytą w wojnie — zaoponował kniaź.

— Nie zdobytą, ale podstępem porwaną, o którą stoczyłem śmiertelny bój z Wasylką i wedle praw boskich i ludzkich a nawet prawa wojennego do mnie jedynie należy — wyrzekł z mocą, ponuro i rękę położył na rękojeści miecza.

— Za wydanie jej król przyrzekł dwóch jeń-

ców a ja dodam trzeciego tj. siebie samego!

Wśród zebranych wojowników rozszedł się szmer po sali zamkowej i wszyscy utkwili wzrok w Mściboją, czekając, co kniaź odpowie.

Kniaź milczał chwilę, poczem odrzekł: Jutro zbadam sprawę i do trzech dni rozsądzę sprawiedliwie.

Cóż było mówić? Posłowie zabierali się ku wyjściu, nic nie wskórawszy z upartym Rusem.

Żegnając się z kniazem, zawiedziony w swych nadziejach Mścibój dodał groźnie: Wiedz o tem kniaziu, że choć jestem jeno ubogim rycerzem, jednak mam silną prawicę i ktokolwiek krzywdę, uczyni mojej niewieście, za krzywdę krwią mi zapłaci, choćby mi przyszło głową nałożyć.

Kniaź jednak mimo uszu puścił tę groźbę.

Na drugi dzień odesłał kilku sędziwych zakładników zabranych z Przemyśla, lecz bez małżonki Mściboją.

Wysłańcy kniazia z rozkazu swego pana pod przysięgą zeznali, iż jej nie było i niemasz na zamku. Wprawdzie chciał Wasylko ją tu umieścić, ale się kniaź na to nie zgodził.

Wobec bliskiego oblężenia — wysłał ją z kupcami greckimi, być może wprzód im sprzedawszy jako niewolnicę.

Dokąd i kiedy ci kupcy wyjechali niewiadomo na zamku nikomu, ale o tem w samym grodzie powinni ludzie wiedzieć.

Usłyszawszy Mścibój tak straszne wieści wpadł w rozpacz i sam nie wiedział co czynić!

Dopiero, gdy się uspokoił i rozpoczął poszukiwania, przekonał się, iż prawdą to być mogło.

Zdobywszy te wieści udał się bezzwłocznie do

króla, błagając dla niej o ratunek a dla siebie o zwolnienie na kilka dni od obowiązków dowódcy, celem odbicia małżonki.

Król z prawdziwem współczuciem wysłuchał relacji swego wiernego rycerza a zwolniwszy go, kazał mu wziąć 200 zbrojnych wojowników i udać się na poszukiwania.

— Pamiętaj jednak — dodał na pożegnanie — abyś mi swą zgubę po powrocie okazał, bo wiele o jej cnocie i urodzie słyszałem!

— Uczynię to ochotnie, wedle twego rozkazu Miłościwy Panie, bylebym ją jeno odnalazł!

Jeszcze tego samego dnia pognał w puszcę, rozdzieliwszy żołnierzy na cztery oddziały, które w różne strony porozsyłał. Sam zaś na czele pięćdziesięciu zbrojnych mężów ruszył w pośpiechu wzdłuż Sanu, wybrawszy z wielu dróg i drożyn wiodących na Węgry najszerszą, którą zwykle jechały karawany kupieckie.

## ROZDZIAŁ XI.

W puszczy czyniło się coraz ciemniej; wśród odwiecznych drzew, gdzie zwykle panował mrok, teraz roztaczała się już ciemna, dusząca noc. Chwilami dawał się słyszeć krótki, urywany krzyk przestraszonego ptaka i groźna, ponura cisza trwała. Nagle gdzieś zdaleka rozległ się potężny choć jeszcze przytłumiony łoskot — burza szła.

Jakby łoskotem tym zbudzony bór zatrzął się w podstawach, mącąc swym poszumem dotychczasowy spokój.

Burza była coraz bliżej. Ogniste zygzaki rozdzierały niebo, a gromy stawały się coraz wyraźniejsze, aż wreszcie zmieniły się w jeden straszliwy huk.

Bór cały giął się smagany potężnym wichrem, a z jękiem uginających się gałęzi i trzaskiem grzmotów mieszały się ryki żubrów i przerażone głosy leśnych ptaków; cały bór zdawał się trząść w straszliwym, panicznym lęku.

Nagle rozległ się przeogromny, potężny huk i stuletnia sosna stanęła w płomieniach. Pioruny biły coraz potężniej, raz po raz padały z trzaskiem i hukiem odwieczne dziedzice boru. Zdawało się, że ten bór się wali, niebo płonie a ziemia się zapada wśród tego szumu, huku i ognia.

Burza zwolna traciła swą moc.

Otwarte upusty niebieskie poczęły zlewać ziemię rześistym deszczem, który z każdą chwilą przybierał na sile i istne potoki płynęły z nieba, zalewając wzniecony przez osadników pożar puszczy.

Powoli z podpalonego obszaru lasu w miejsce ognia pełzały leniwo po ziemi ciemne smugi dymów.

Gdy przeszła burza, ze skórzanych namiotów karawany poczęły wychylać się kupcy i lękliwie rozglądać się wokół, poczem skwapliwie pospieszyli do wozów z drogocennymi towarami.

Rozległy się krzyki rozpaczy i biadania, bo znaczna część towarów, choć okryta skórą, przecież zalana została wodą. Przy pomocy służby wydobywali je z wozów i suszyli na słońcu.

Karawana miała dwudniowy, przymusowy postój.

Z tego postoju jednie rade były niewolnice a najwięcej z nich Zbegna, bo teraz miała najlepszą sposobność do uciezki.

Od chwili bowiem, gdy dowiedziała się, że Mścibój i jej dziatki żyją, postanowiła uciekać. Jak obliczyła jechali już czwarty tydzień i byli niedaleko węgierskiej granicy, W tym czasie Przemyśl został już zdobyty i Mścibój miał czas dowiedzieć się o jej losie.

— Dlaczego dotąd go niema? — zadawała sobie uparcie pytania i wielce się niepokoiła.

— Może jej szuka w puszczy? Może zabłąkał się albo innemi drogami udał się na poszukiwania?

Dłużej czekać nie podobna, zwłaszcza, że nadarza się dobra sposobność, bo obok znajdują się osadnicy, którzy właśnie puszcę ogniem spalili.

Trzeba do nich uciekać, ale przedtem warto ich poznać. Kostopulos zajęty obecnie swemi towarami razem ze służbą ani zechce słyszeć o tej wycieczce a na pomoc Ezechiela już liczyć nie można. Po ostatniem wyznaniu jej swej miłości unikała go, przebywając ustawicznie w towarzystwie trzech niewolnic.

Nazajutrz dali znać pachółkowie, że niedaleko ukryta w gąszczach stoi samotna chata myśliwca.

Chwyciła się jak deski ratunku tej wiadomości i bezzwłocznie pobiegła z towarzyszkami prosić o pozwolenie zwiedzenia tej chaty.

Po długich naleganiach Kostopulos pozwolił, ale przydał im dla bezpieczeństwa dwóch pachółków z Ezechielem na czele.

Poszli więc wszyscy. Zbegna jednak nie szła już jak przedtem osobno z nim, ale razem z towarzyszkami, ani na krok ich nie odstępując.

Niedługo przybyli do chaty.

Była to chata uboga, pusta i nie zamknięta, jakiegoś biednego myśliwca jeszcze dotąd w pogaństwie żyjącego. W rogach izby stały bowiem wyrzeźbione drewniane, małe posążki Swantewita, na sosnowym stole leżał miód leśny w piasrach i kawał dziczyzny dla gości, na ścianach porozwieszane łuki i sieci.

Gospodarza nie było.

Ezechiel starał się zbliżyć do Zbegny i rozmówić się z nią, ale ta unikała go, przeważnie milcząc.

— Jak daleko do granicy węgierskiej? — zagadnęła nagle w chacie.

— Gdzie ta granica i jak daleko do niej, to jednemu Bogu wiadomo! — odpowiedział kupiec. Dawniej za króla Bolka Chrobrego Polska sięgała do Dunaju i Dunaj tworzył granicę, ale później granica ta przesunęła się ku Karpatom, choć za niemi mieszkają plemiona słowiańskie zwane Słowakami. Król Bolko, którego zwa Śmiałym, zapewno wzorem swego pradziada z powrotem Dunaj uczynił granicą. Jak miarkuję to za jaki tydzień a może wcześniej powinniśmy być już na Węgrzech.

Gdy wyszli z chaty poprosił ją na bok mówiąc:

— Czemu ty Zbegno tak zmieniałś się i unikasz mię ciągle? — Czemu tak się wypytujesz o granicę jakbyś chciała albo się tam dostać jak najprędzej, albo z tej granicy uciekać do Polski?



Te pytania zmieszały ją, ale zapanowała nad sobą i odpowiedziała spokojnie i swobodnie.

— Ani nie unikam, ani się nie zmieniałam, ani uciekać nie myślę, lecz pytam się z ciekawości, bo chciałabym już raz zobaczyć te Węgry.

— Powiedz mi raczej panie, co mówili Rusowie, czy zdobyty Przemyśl i czy poległ Wasylko?

— Różnie opowiadali. Jedni mówili, że Przemyśl zdobyty i poległ Wasylko, drudzy, że to jeszcze niepewne.

— Czy chciałabyś być z powrotem w Przemyślu? zagadnął nagle.

Zdziwiona niewolnica milczała, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

— Jeśli chciałabyś, tobym ci pomógł — wyrzekł, patrząc na nią badawczo.

— Dlaczego?

— Bo cię mi żal i... miłuję cię! A Kostopulos to stary, chytry handlarz, który mię oszukał, oszuka i ciebie.

— Czy mam temu wierzyć?

— Jak chcesz!

— Ja przyrzekam ci ułatwić ucieczkę.

Jutro lub pojutrze świtaniem możesz uciekać i schronić się tymczasem w tej chacie myśliwskiej a stąd myśliwiec odprowadzi cię dalej.

Mój wierny pacholek będzie trzymał straż koło waszego namiotu; on ci niedaleko zostawi dla obrony oszczep, trochę żywności i nie spostrzeże cię, aż dopiero później, gdy będziesz daleko i poprowadzi pogoń, ale w inną stronę puszczy.

Ze zdziwieniem, ale zarazem z wielką nieufnością słuchała tego projektu Zbegna a podejrzy-

wając żydowina o chytry podstęp, milczała.

— Jak chcesz, tak czyń! — odezwał się dodając: A choćby cię schwytali, toć cię nie zabiją i nic ci nie zrobią. Zresztą możesz powiedzieć, żeś się zabłąkała, wyszedłszy z namiotu.

— Tak, czy owak proszę cię nie mów o tem Kostopulosowi.

— Dobrze! — wyrzekła wreszcie — rozważę wszystko.

— Coś w tem jest! — myślała. — Nic innego, tylko mię nie chciał Grek sprzedać żydowinowi a ten z zemsty za to, chce mi ułatwić ucieczkę. Żal mi tylko starego Greka, bo to dobry człowiek, ale trudno, tembardziej, iż nie jestem wdową i Mścibój żyje.

Tak rozmyślając wróciła do obozu i długo w noc usnąć nie mogła, układając cały plan ucieczki.

Nazajutrz świtaniem wyszła swobodnie z namiotu w las.

Przy dogasających ogniskach drzemali pachol-kowie, ptactwo poczęło już zawodzić swe ranne trele a błądy świt rozpraszać ciemności.

Szła powoli, śmiało, jakby nie spiesząc się wcale; pod drzewem wbity był w ziemię oszczep a obok leżała torba myśliwska. Jedną ręką pochwyciła oszczep, drugą torbę i poczęła się namyślać, jak ta ptaszyna w klatce, w której nagle zastała dźwiczki, otwarte...

Stanęła chwilkę, oglądnęła się a zrobiwszy znak krzyża św. poczęła uciekać w kierunku na północ, mając po prawej ręce drożynę.

Puszcza pochłonęła ją tak, jak pochłania głę-bina nurka.

W dobrą godzinę, w obozie kupieckim powstał alarm, niepokój i krętanina: Zbegna przepadła! Zbegna zabląkała się! Zbegnę zwierz dziki pożarł! — wołały pozostałe niewolnice.

Nikt nie przypuszczał ucieczki, nawet sam Kostopulos. — Pewnie wyszła w las i zablądziła!

Dlaczegożby miała uciekać?

Czyż tu jej źle było? Czy jej czego brakło?

Poczęto z początku pohukiwać wołając: hop! hop!, — aż echo szło w puszcze, ale nadaremnie.

Kostopulos był w rozpacz.

Co za strata! Jaka szkoda! — biadał i tracił głowę. Karawana, która była już przygotowaną do dalszej drogi, została dalej na postoju.

Zbliżył się Ezechiel.

— Trzeba jej szukać, trzeba rozesać pacholek na wsze strony! — zawołał.

Ocknął się zrozpaczony Kostopulos.

— Chłopcy! Solid na głowę, a kto pierwszy odnajdzie, dostanie pięć sztuk złota!

Gońcie! szukajcie! żeby ją jaka przygoda nie spotkała!

Rzucili się pacholekowie w las i rozbiegli na wsze strony, ciągle pohukując: hop! hop!

Kierował pogonią wiernik Ezechiela, sługa Jakim, który znał puszcze. Sam z kilkoma rzucił się na północ, innym kazał gonić na zachód i na południe.

Cała karawana z Kostopulosem i Ezechielem z niepokojem oczekiwała wieści.

— Widzisz Kostopulosie, iż lepsze i pewniejsze były moje trzysta sztuk złota przed dwoma dniami, które ci ofiarowałem za Zbegnę! — odezwał się z wymówką Ezechiel.

Greki westchnął żałośnie i dodał: Może d Bóg, że się znajdzie!

— A jak się nie znajdzie?

— Przepadło moich pięćset solidów! Tak dobra, taka piękna i posłuszna niewolnica! — jęczał stary Grek, niepokieszony.

Godziny upływały jedna za drugą.

— Zapewne teraz sprzedałbyś Zbęgnę? — odezwał się Ezechiel z ironią.

— Teraz dałbym ją nawet za trzysta solidów!

— Chcesz sprzedać sarnę w lesie, zająca w polu albo wróbla na dachu! — zaśmiał się Ezechiel.

— Teraz Zbęgnę w lesie tyle warta, co sarna tj. najwyżej dziesięć procent od tej sumy, którą żądałeś!

— Co dasz za Zbęgnę?

— Jak powiedziałem 10 procent tj. 50 solidów!

— Głupiś, Ezechielu, synu Dawida!

— Ile naprawdę żądasz, ty filozofie nieśmiertelnej głupoty?

— Dasz 250 bizantynów?

— Dam ci teraz sto, ale za godzinę i tego nie dam..

— Daj dwieście i bierz ją sobie!

— Dobrze dam dwieście, ale daj mi ją!

Zbliżyli się inni kupcy i z zaciekawieniem przysłuchiwali się tej ciekawej licytacji, mówiąc: wielkie ryzyko!

— Kupiec, gdy nie ryzykuje, nie wiele zarobi! powiedział poważnie Kostopulos.

— Zaryzykowałem sto solidów! — wykrzyknął zirytowany Ezechiel — i więcej nie mogę!

— Sto pięćdziesiąt! Ostatnie moje słowo!

Ezechiel chwilę się wahał, poglądając już to na kupców, już to na niebo i jakby nadsluchując, wreszcie wśród ogólnej ciszy odezwał się: Niech się stanie! Dam stopięćdziesiąt bizantynów za Zbeganę! Znajdą ją — mój zysk! Nie znajdą — moja strata!

To mówiąc odliczył 150 błyszczących sztuk złota, które chciwie zgarnął stary Grek i schował do trzosa.

Zbegna została sprzedaną poraz wtóry!

Kupcy czekali w wielkim naprężeniu, wołając od czasu do czasu: hop! hop!, aby powracających naprowadzić na karawanę.

Nie było odpowiedzi i godzina za godziną upływały i zbliżyło się południe.

Nadzieja na odnalezienie Zbegny zmaląła. Ezechiel był zaniepokojony, Kostopulos ręce zacierał.

Nagle z głębi puszczy odezwało się dalekie: hop! hop!, któremu szybko odpowiedziano z obozu. Równocześnie z innych stron słyszeć się dało także hukanie tylko głośniejsze, jakby z kilkudziesięciu gardzieli.

Hop! hop! — ciągle wołano z obozu, i ciągle odpowiadało mu echo z borów, coraz bliższe, wreszcie poczęły krze się rozchyłać i wynurzyli się pachołkowie, wiodąc ze sobą Zbeganę a równocześnie jacyś jeźdźcy otaczali całą karawanę ze wszech stron.

## ROZDZIAŁ XII.

Od świtu do zmroku gnał Mścibój przez puszcę, bez opamiętania, nie zważając na żadne przeszkody i niebezpieczeństwa grożące od dzikiego zwierza i szukał po drodze śladów.

Jeszcze w uszach brzmiał mu płacz jego bliźniaków i dziecinne ich prośby: Weź nas do mamy! Przywieź nam mamę!

— Choćby na Węgry, choćby na kraj świata pójde a muszę cię odbić ty moja najmilsza i droższa mi nad wszelkie skarby świata!

— Choćby mi przyszło głową nałożyć, nałożę, bylebyś ty wolna była! — mówił rycerz do siebie i gnał jak oszalały.

Na błotnistym gruncie znajdował tu i ówdzie połamane koła a czasem cały wóz potrzaskany i resztki siana.

Na noc musiał odpoczywać, robić postoje i palić ognie, aby ochronić się przed napadem dzikiego zwierza, którego była niezliczona ilość.

Na drugim już postoju przynieśli mu żołnierze rozwieszane na gałęzi drzew trzy kółka uwite z jedliny i kilka podobnych znalezionych na drodze,

To go wielce zastanowiło.

Po chwili przypomniał sobie o przesyłaniu kuluszek jako o tajemnych znakach umówionych ze Zbigniewą

Nikt inny — mówił z radością — tylko ona je rozwiesiła i rzuciła, wzywając ratunku. Ale czy zdąży na czas?

Jak obliczał od czasu jej wywiezienia minęło już blisko cztery niedziele. Za ten czas kupcy

mogli się już dostać na Węgry i tam skrócić w różne strony a nawet ją sprzedać!

Kółka i ślady z karawany wszędzie były widoczne.

Nagle kółka się skończyły, choć nie brakło śladów innych.

Co to ma znaczyć? Czy spotkało ją jakie nieszczęście? A może ratowała się ucieczką?

Umyślnie cały oddział jechał teraz noga za nogą szukając z rozkazu dowódcy kółek na drodze — niestety napróżno.

Nagle usłyszano stukot siekier.

Gdy się zbliżono, niedaleko z drogi widać już było drwali trzebiących puszcę i liczne ogniska.

— Może coś ci drwale widzieli? Trzeba się ich popytać! — mówił do siebie i ruszył ku nim skwapliwie.

— Tak! tak! — opowiadali drwale — widzieliśwa może przed dwiema niedzielami jak niedaleko cały dzień kupcy obozowali nawet u nas był jakiś pan, może kupiec, cztery młode niewiasty z zasłonami na obliczach i kilku zbrojnych ze służby.

Byli długo, oglądali, pytali się, dali nam nawet soli z obozu. Jedna z niewiast cudnej urody usiadła z tym kupcem pod dębem już z odsłoniętem obliczem i coś tam długo między sobą gwarzyli, inne niewiasty śpiewały a nad wieczorem wrócili do obozu.

Pod dębem znaleziono małe kółko jak wianek, zresztą ani na obozowisku ani w dalszej drodze już kółek nie było. Dopiero czwartego dnia pokazały się te kółka i wyraźne ślady kół wozów;

widać było dokładnie,- że karawana zdążyła do Węgier.

Piątego dnia przed południem natrafił na duży szmat świeżo spalonej puszczy. Na olbrzymiem pogorzeliisku stały opalone pniaki, około których wiły się jeszcze smugi dymów i kilkudziesięciu kręciło się osadników.

Osadnicy zeznali, iż widzieli jakąś dużą karawanę na wzgórzu, która niedaleko obozowała i właśnie głośnem hukaniem zwoływała się. Te pohukiwania słychać było wyraźnie, jakby wychodzące od drogi leżącej przed nimi. Im więcej się zbliżali, tem te hukania stawały się coraz wyraźniejsze.

Było widocznem, iż się jacyś ludzie nawoływali.

Mścibój jako wódz przezorny wstrzymał oddział i wysłał pieszo kilku wojowników na zwiady. Niedługo wywiadowcy przybyli, meldując, iż na drodze w istocie stoi karawana złożona z około dwudziestu wozów pod strażą kilkunastu zbrojnych ludzi. Obok siedzą trzy niewiasty w zasłonach i sześciu jakichś obcych kupców, którzy na kogoś hukają i kogoś oczekują.

Wydał rozkazy i zdala cicho półkołem poczęto otaczać, jakby łańcuchem karawanę.

Stało się to w chwili, gdy zbrojni pacholkiwie Ezechiela, wracając z pogoni, wiedli ze sobą w triumfie zbiegłą Zbigniewę.

Na widok zbrojnych mężów wyłaniających się wokół z gąszczy, w obozie rozległy się krzyki przest్రachu.

Kupcy, czekający na powrót niewolnicy zbledli przerażeni, patrząc z trwogą na groźne postaci



wojowników, niewiasty poczęły lamentować a pacholkiwie chwycić za oszczepy.

Powstało zamieszanie, tumult i rwetes.

Zbegna, wyrwawszy się z rąk pacholków wyciągnęła do góry ramiona wołając: Rycerze, ktokolwiek jesteście ratujcie mię! Ocalcie! Jestem małżonką Mściboja!

Mścibój, który niedaleko wydawał gromkim głosem rozkazy, słysząc te rozpaczliwe wołania zeskoczył szybko z konia i pobiegł w tę stronę.

— Mściboju ratuj mię! — krzyknęła na jego widok i rzuciła się ku niemu, osuwając się ze wzruszenia i szczęścia omdlała w jego ramiona.

Podniósł jak piórko swą niewiastę i złożyłwszy ją na murawie, kazał przynieść wody i sam cucił, grożąc kupcom: Łotry! każę was wytracić.

Wojownicy, siedząc na koniach otoczyli go kołem i dobywszy mieczów, czekali na rozkazy.

Na kupców padł strach.

— Dobrze, żeśmy tej niewolnicy krzywdy ni jakiej nie uczynili — mówili między sobą i z Kostopulosem podeszli do Mściboja.

Zbegna poczęła otwierać oczy na pół przytomnie, blada, jak gieźło.

Mścibój, ujrawszy zbliżających się kupców krzyknął z wściekłością: Precz stąd przekłęci handlarze i łotry! Za chwilę każę was wszystkich obwiesić, za to, coście mej małżonce uczynili!

Kupcy przerażeni cofnęli się, milcząc.

Kostopulos jednak był spokojny a zbliżywszy się odezwał się śmiało: Jeśli ktokolwiek z nas uczynił twej małżonce co złego, każ go, dostojny panie, obwiesić, ale wpierw zapytaj się jej, czy ją, jaka krzywda spotkała!

Zbigniewa przyszła już do przytomności a słyszając słowa kupca odezwała się słabym głosem:

— Mściboj! — Nie karz tych ludzi, bo oni niewinni, winien tylko Wasylko!

Zmitygował się groźny rycerz i wyrzekł spokojnie: zaraz przekonamy się!

Kupcy stali spokojni, czekając, co dalej nastąpi.

Po chwili Zbigniewa przy pomocy Mścibojki powstała i poczęła szybko urywanemi słowy opowiadać o swem porwaniu i sprzedaży.

— To ten zbój Wasylko sprzedał mię kupcowi greckiemu.

— Wasylko poległ z mej ręki w ręcznym spotkaniu na topory! — dorzucił Mścibój.

— Dzięki Ci, Boże! Już pomściłeś mię!

— Od kupców nie doznałam nic złego — a że kupili me to nie ich wina! — tłumaczyła ich.

Mścibój nie poprzestał na tem świadectwie swej małżonki, lecz podszedł ku trzem stojącym niewiastom pytając ich, jak się obchodzili kupcy z jego małżonką i z niemi i czy nie chcą z nim wracać do Przemyśla.

Wszystkie chwaliły dobre obchodzenie się kupców z małżonką jego i z niemi, dodając, że wracać nie chcą.

Zbadawszy sprawę gruntownie, odezwał się do kupców: Żeście mej małżonce krzywdy nie uczynili, nie uczynię i ja wam! Jedźcie dalej w pokoju.

To mówiąc wsiadł na koń, posadził obok siebie odnalezioną Zbigniewę i kazał ruszać w drogę.

— Dzięki ci, dostojny panie, odezwał się Kostopulos już odważnie — ale kto mi zwróci

trzysta solidów które zapłaciłem za nią, za jej szaty i utrzymanie?

Popatrzył groźnie rycerz na kupca i krzyknął:

Idź precz! Bądź szczęśliw, iż głowę unosisz ty i twoi towarzysze! Jeśli ci krzywda, szukaj jej u Wasylki! — poczem z orszakiem na czele zawrócił tą samą drogą w kierunku Przemyśla.

Niepoczyszony był tylko Ezechiel, biadając: Gdzie moje stopięćdziesiąt solidów? Gdzie moja niewolnica?

— Kostopulosie oszukałeś mię, sprzedając mi ją w lesie, jak sarnę!

Greki spojrzeli szyderczo na swego biadającego towarzysza i warknęli: Milcz głupcze! albo idź i odbierz ją sobie od męża, a mnie daj spokój, — poczem kazał ruszać w drogę mówiąc do siebie: Dobrze, że na tym interesie nie straciłem...!

Ezechiel, który chciał podejść i oszukać chytręgo starego Greka poniósł największe straty, bo niedość, że stracił stopięćdziesiąt solidów, ale nadto wszystkich niewolników. Jeden bowiem z oddziałów Mściboja natrafiwszy na nich, pobił zbrojnych pacholców i wszystkich uwolnił.

W weselu i wielkiej radości zdążył teraz Mścibój do Przemyśla a usadowiwszy swą niewiastę obok na siodle tulił ją, jakby bał się, żeby jej nie uronić po drodze.

Po dwu latach rozłąki opowiadaniom wzajemnym nie było końca. Ona malowała swe straszne przejścia, on opisywał odnalezienie dziełek, śmierć Wasylki, walki pod Kijowem, Czerwieniem i Przemyślem, a nadewszystko króla Bolka, jako śmiałego i szczodrego.

Wracali szczęśliwi wśród radośnie szumiącej  
puszczy i chóru leśnych ptaków.

A w tym chórze słychać byto także srebrzysty  
głos Zbigniewy: Jedzie rycerz zbrojny hej! hej!

## ZAKOŃCZENIE.

W kilka dni po wyjeździe Mściboja odbyła się w rezydencji królewskiej wielka narada wojenna, na którą przybył Wszebor, kilkunastu znamienitych rycerzy i dwóch budowniczych greckich.

Po odmowie kniazia było jasnym, że zamek trzeba zdobyć szturmem, lub wziąć go głodem.

Część zwłaszcza młodszych wojowników z królem na czele pała do walki i szturmów, dowodząc, że wojsko niecierpliwi się i czeka tylko na rozkaz. Wszebor jednak jako stary, doświadczony wódz a z nim inni odradzali królowi szturmować.

— Niedostępne i wielce obronne to stare zamczysko — mówili — które może nam pożreć tysiące ludzi. Ani książ Włodzimierz nie wziął go szturmem ani twój pradziad, Miłościwy Panie, nie odbił siłą jeno wszyscy brali głodem, więc i my głodem go wziąć musimy.

— Ale ani książ Włodzimierz ani mój pradziad nie mieli tyle wojska i takich machin jak ja mam! — wykrzyknął młody król porywczo.

— Machiny i wieże dobre do zdobycia wałów grodu, ale nie takiej obronnej i wielkiej góry,

najeżonej basztami i palisadami! — odrzekł spokojnie Wszebor.

Król począł pytać o radę Greków.

Ci nie ukrywali trudności, nadmieniając, iż dłuższego czasu będzie potrzeba na budowę nowych wież pod zamkiem a równie długiego do szturmów.

Po długich naradach król poszedł za radą starego Wszebora, postanowił jednak spróbować kiku szturmów i to na ochotnika, aby wojsko nie odwykło od walki.

W czasie przygotowań do szturmów nie było dnia, żeby się król nie pytał o Mściboja. Wreszcie, gdy się dowiedział o jego powrocie i o odnalezieniu małżonki wielce się ucieszył, kazał go do siebie zaraz wezwać i zdać dokładną relację.

Nazajutrz wydał wspaniałą ucztę, na którą zaprosił go z małżonką i wielu rycerzy.

Gdy się ukazała Zbigniewa i razem z Mścibojem poczęła królowi dziękować za pomoc, rozszedł się szmer podziwu wśród wojowników; wszystkich oczy zwróciły się ku niej a młody król Bolko zachwycony jej urodą i wiernością wykrzyknął: Jakżeż żałuję, iż o Ciebie, dostojna Pani, nie stoczyłem boju z Wasylką miasto Mściboja! Byłbym teraz ja w posiadaniu i nie oddałbym już Mścibojowi! — zakończył śmiejąc się.

Zapłoniła się młoda niewiasta jako, że poraz pierwszy widziała króla i jego oszak świetnych rycerzy, więc spuściwszy oczy cicho jeno wyszeptowała: — Nie godnam tego Miłościwy Panie!

Król posadziwszy Zbigniewę po swej prawicy wkrótce ją ośmielił i choć pochłaniał oczami, prze

cięż się hamował, ale widać było, iż mu się nie zmiernie podobała.

Rycerze poczęli się trącać łokciami i szeptać: Przepadła już niewiasta Mściboja!

Król jednak jak dworny kawaler był jeno uprzejmy, rozmowny, i swobodny.

Z początku Zbigniewa płoniła się, ale pomału, ośmielona przez króla, poczęła odzyskiwać równowagę umysłu i pewność siebie a nawet na jego życzenie opowiadać swoje przygody, usprawiedliwiając się, iż już na chwilę zwątpiła w ocalenie i poczęła się godzić ze swym losem, oszukana i otumaniona przez handlarzy.

Wśród dźwięków gęśli i lutni długo w noc, trwała ta uczta po której król obdarzył ją bezcennymi skarbami. W darze królewskim otrzymała misterny czepiec szyty złotem a wysadzany drogiemi kamieniami i perłami, złote naszyjniki, lite złotogłowie, brokaty i cudne jedwabne muśliny z dalekich krajów indyjskich sprowadzone a podobne do delikatnych pajęczyn, dzierganych złotem.

Mścibój, zazdrosny o swą małżonkę, wszystkie te dary i hołdy królewskie składane jej w darze przyjmował milczący i chmurny.

Król widząc swego wiernego rycerza w rozterce i męce zbliżył się doń i szepnął przyjaźnie: Wiedz o tem, iż nie jestem złodziejem cudzego szczęścia, lecz przyjacielem.

Skłonił się rycerz milcząc i głęboko odetchnął, jakby straszny ciężar spadł mu z piersi.

Nazajutrz odbył się, próbny szturm do zamku na ochotnika. Zgłosiło się kilka tysięcy wojowników ze wszystkich drużyn,

Gdy zmierzch zapadł, pospieszyli z drabinami pod fosy, które zarzuciwszy faszyną poczęli się drapać mozolnie na spadziste zbocza skalistej góry.

Na śmiałków poczęto miotać z za dębowych palisad gęste strzały z kusz i łuków i rzucać wielkie głazy i ciężkie belki.

Pierwsze szeregi oblężających zaścieliły gęstym trupem podnóże góry. Nie powstrzymało to innych, którzy jeszcze z większą zaciętością darli się po trupach swych towarzyszy, ale również jak pierwsi zepchnięci zostali.

Król, który w pobliżu z Wszeborem kierował oblężeniem, choć nie miał żadnej nadziei zdobycia w pierwszym szturmie zamczyska, przecież był zły i chmurny, bo naocznie przekonał się o prawdziwości słów starych wojowników. Dlatego o świcie kazał trąbić w rogi do zaprzestania walki.

Pierwsza ta próba zdobycia zamku kosztowała go kilkuset wojowników w zabitych i rannych.

Mścibój z rozkazu króla nie brał udziału w tym szturmie.

Rozpoczęło się więc z początkiem czerwca długie, bo całe lato trwające oblężenie zamku, przerywane od czasu do czasu szturmami i rozpaczliwymi wycieczkami oblężonych Rusów. Często wśród ciemnych nocy książę ze swoimi wojownikami wypadał z zamku, aby podejść wojska królewskie; toczyły się więc wśród mroków nocnych krwawe i zażarte walki, które przeważnie dla Rusów kończyły się klęską i wielkimi stratami,



Król tymczasem z rycerstwem spędzał czas wesoło na ucztach i łowach.

Przemyśl w czasie pobytu króla stał się, jakby drugą stolicą Polski i rozbrzmiewał szczękiem oręża i wesołym rozgwarem. Tysiące srogich wojowników w żelaznych rękach królewskich zmieniło się w łagodnych baranków i używało zasłużonych wczasów na tych leżach.

Tu w obronne wały siedziby Bolkowej ściągali kupcy ze Wschodu i Zachodu, przywożąc drogocenne i nieznane towary, tu przybywali z Krakowa różni dostojnicy, z którymi król odbywał narady w sprawach państwowych. Z warownego grodu Przemyśl stał się ruchliwym, wielotysięcznym miastem, tętniącym życiem, w którym dominował dwór królewski z całym monarszym przepychem i rozrzutnością.

Wśród wesołych śpiewów, dźwięków gęśli i lutni, w gronie pierwszych rycerzy i urodziwych niewiast, na ucztach i zabawach spędzał król Bolko niefrasobliwie czas i czekał niecierpliwie rychło podda się zamek.

A zamek dogorywał.

Jak przysły wieści już głód straszliwy, brak wody i różne choroby panowały na zamku. Codziennie umierało po kilkanaście ludzi. Wojownicy snuli się po wałach jak mary podobni do kościotrupów, aniżeli do ludzi. Już konie jeden po drugim zjadano a nawet padlinę a uparty dowódca zamku nie poddawał, oczekując na próżno ciągle pomocy i odsieczy.

W zamku poczęto już szemrać. Zgorzejem!  
— mówili Rusowie — i pomrzem wszyscy śmiercią

głodową! — I rzeczywiście w końcu sierpnia rozpoczęło się powolne konanie.

Wówczas to książę zdecydował się wreszcie na poddanie zamku królowi i wysłał doń posłów.

Podobni do mar przybyli wysłańcy ruscy, prosząc kornie króla o łaskę i zmiłowanie a podając mu zamek w imieniu kniazia nieśmiało pytać poczęli, azaliby nie mogli wyniść z taborami i zdobyczą.

— Zdajcie się na łaskę i niełaskę moją a krzywdy wam nie uczynię! — była odpowiedź królewska.

Kazawszy nakarmić i napoić wygłodzonych posłów, wysłał za nimi kikanaście wozów pełnych chleba, mięsa i wina a niedługo swoich parlamentarjuszy z Mścibojem na czele i takie kazał obwieścić warunki: Król ceniąc waleczność załogi zezwała wyniść jej z zamku wolno w pełnym rynsztunku wojennym dokąd zechce i zabrać jej ze sobą tyle, ile każdy udźwignie. Wszystkim wojownikom i ludności ręczy za życie swem słowem królewskim.

Gdy Rusowie usłyszeli o takich warunkach uradowali się niezmiernie i wznieśli na cześć króla okrzyk, co kniaziowi nie w smak poszło. Nasyceni prowiantami królewskimi poczęli się gorączkowo sposobić do wymarszu z tego straszego dla nich więzienia.

Po oddaniu kluczków do rąk pełnomocników królewskich, — gdy król z orszakiem rycerzy wyjechał na zamek — właśnie w tej chwili, Rusowie z kniazem wychodzili zeń zbrojni, jak do bitwy.

Ci butni bojarowie i wojownicy, którzy niedawno temu na rosłych koniach potykali się pod

wałami Przemyśla, szli teraz pieszo wymizero-  
wani, głodem i chorobami zniszczeni, słaniając  
się na nogach, z upartym kniazem na czele. Szli  
w milczeniu, ale przecież radośni, iż idą nie jako  
jeńcy, lecz jako wolni wojownicy z bronią w ręku.

Gdy podeszli do orszaku królewskiego, oddali  
królowi honory należne i pomaszrowali spo-  
kojnie w świat mówiąc do siebie: „Welyki to i  
szczodry korol!“.

Po odzyskaniu zamku kazał go król bez-  
włocznie oczyścić z trupów, odnowić, ponapra-  
wiać i urządzić z przepychem tak, iż w krótkim  
czasie mógł się doń przenieść i tam założył swą  
królewską rezydencję<sup>1)</sup>.

Niedługo na prośbę króla przybyła z całym  
swym dworem i orszakiem dostojnych dworek  
królowa z Krakowa i zajęła jedno skrzydło zamku.

Z przybyciem królowej i wielu dostojników  
i rycerzy w głuchem zamczysku przemyskiem  
zawrzało życie ruch i rozgwar.

W tym zamku król wówczas zamyślał o wiel-  
kich czynach rycerskich i politycznych a patrząc  
z okien na wijącą się u stóp wzgórza wstęgę  
Sanu i ciemne bory roił sny o potędze równej  
cesarzowi niemieckiemu, nie spodziewając się, że  
za lat kilka stanie niedaleko szczytu swych ma-  
marzeń i w chwili, gdy na swe dumne skronie  
włoży koronę królewską<sup>2)</sup> zaciekły wróg Polski  
cesarz Henryk IV. w worze pokutnym spieszyć  
będzie do.. Canossy.

<sup>1)</sup> „Ipse cum prioribus procerum et baronum in arcem  
se recepit“. Historia Polonica Joannis Długossi.

<sup>2)</sup> W r. 1076.

On, który jedynie Namiestnika Chrystusa w Rzymie uznawał nad sobą, nie przeczuwał, iż z tego szczytu ludzkiej potęgi i chwały spadnie jeszcze niżej od Henryka IV. i wnet jako wygnaniec, banita i żałujący za zbrodnię, zabójca św. Stanisława, w roli nędznego pokutnika spędzi na najniższych posługach w dalekim Ossyaku swe ostatnie lata..

On król i władca!

Wokół niezmierna puszcza szumiała..

Te puszcze przetrzebić, zamienić w orne i chlebodajne zagony, zaludnić osadnikami wyznającymi naukę Chrystusa a wyżenąć czcicieli Swantewita, kryjących się jeszcze w jej wnętrzu — oto jego zadanie i posłannictwo.

W tym czasie przybyło do króla poselstwo węgierskie prosząc o pomoc dla królewicza Gejzy, syna Beli, przeciw Salomonowi pupilowi Henryka IV.

Nie odmówił król pomocy Węgrom, tembardziej iż przeto podrywał cesarską potęgę a zdobywał uznanie papieskie i nie mieszkając, ruszył z całym rycerstwem przez puszcze na Węgry, wyrębując sobie na południe nowe drogi.

I znów opustoszał Przemyśl na pół roku z wojska. Ale gdy wrócił król z wyprawy zatętnił dawnem życiem i rozgwarem. Znów z dalekich krain przybywali kupcy i rzemieśnicy jak do nowej stolicy Polski i napływali osadnicy i jeńcy zaludniając bory.

Puszcza pod siekierami osadników padała i przemieniała się w żyzną glebę, pogaństwo ustępowało a w miejsce świętych gajów, posągów Swantewita i kontyn rozpościerał swe ramiona

krzyż i szła cywilizacja chrześcijańska w niepowstrzymanym, jak górską rzeką pochodzie.

Nie spieszo było królowi opuszczać gród przemyski, bo mu lepiej tu było, niżli w Krakowie i bliżej do zachłannych Rusów, dybiących na jego i Polski dziedzictwo. Usadowił się tu silnie i swoje panowanie umocnił a na Rusów miał baczne oko. Stąd też niedługo po wyprawie węgierskiej ruszył na zdobywanie z powrotem grodów wołyńskich z rąk ruskich

Ale po zwycięskim powrocie musiał porzucić Przemysł i udać się do Krakowa, aby być bliżej Niemców, bo przeciw nim ciągnął go papież jako swego wiernego sojusznika „w tym dziejowym konflikcie dwóch najwyższych potęg świata chrześcijańskiego tj. w głośnym kościelnym sporze o inwestyturę”<sup>1)</sup>.

Po wyjeździe króla i jego dworu Przemysł opustoszał i okrył się jakby żałobą! W miejsce króla rezydował na zamku jego namiestnik a w mieście stała żałoga polska, ale dawna świetność zniknęła. Panowanie jednak polskie, polska kultura i żywioł polski z powrotem utrwaliły się.

Puszcze poczęły wokół rzednąć, powstawały osady i żyzne pola a drogi, które wyrębywał mieczem wśród puszczy król Bolko Śmiały zmieniać się poczęły na handlowe trakty.

<sup>1)</sup> Dzieje Polski. Dr. Roman Grodecki.

Przemysł, w lutym 1929 r.

KOŃC.

